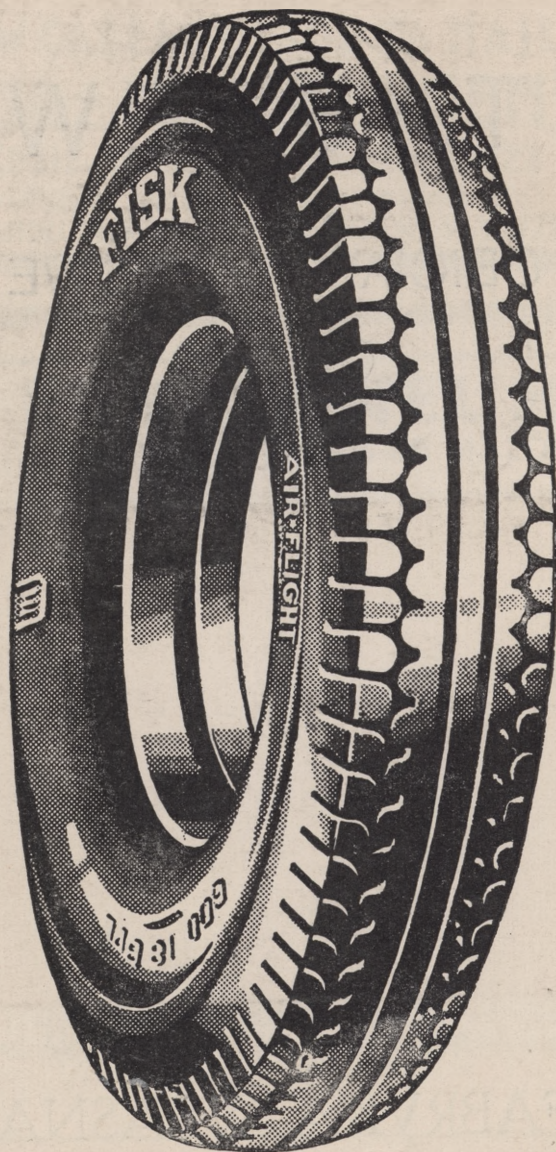




FISK
AIR FLIGHT



Walka rywali

Fot. inż. W. Marczewski

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Każdy sezon ma swoje odpowiedniki w chorobach i niedokładnościach cery. W jakiej postaci akcentuje się zmiana aury zimowej na wiosenną na pięknych twarzyczkach i rączkach, o tem Panie doskonale wiedzą. Poniżej podajemy szereg wyjątkowo doskonałych aktualnych preparatów kosmetycznych.

Wschodni płyn „Mimoza” dla utrzymania czystej cery i zapobiegający opaleniznom.

Wschodni płyn „Mimoza” znany był w sferach arystokratycznych Rosji carskiej pod nazwą „Mleczko czarodziejskie” (Wolszeбноje mołoko) i cieszył się zasłużonym powodzeniem. Do Rosji był przysłany przez pewnego japońskiego lekarza, którego wyzwała carowa, aby przybył ratować jej piękność, kiedy zauważyła, że cera jej więdnie i traci urok młodości.

Jeden z dyplomatów, chcąc zaskarbić sobie łaski carowej, polecił jej lekarza z Jokohamy, z którym spotykał się podczas swojej misji dyplomatycznej w Japonii i o którym wiedział, że cieszy się bezgranicznym zaufaniem u pięknych Japonek. Uproszony przez owego dyplomata doktor K., nie mogąc przybyć osobiście, nadesłał carowej płyn „Mimoza” z poleceniem, aby ściśle stosowała się do załączonego sposobu użycia.

„Mimoza” okazała się cudowną w skutkach, i wszystkie damy dworu starały się zdobyć ów specyfik. Leczył on wszystkie defekty i braki skóry, jak: pryszcze, łuszczenie się, plamy, wągry, nawet piegi i opaleniznę, a wpróż zdumiewająco rozprowadzał i wygładzał zmarszczki, utrzymując czystą cerę i nadając jej świeży, młodzieńczy wygląd. Zasypywany prośbami o wysłanie cudownego płynu, dr. K., nie będąc w możności zadośćuczynić wszystkim prośbom, przychylił się do gorących nalegań wspomnianego dyplomaty i przysłał mu dokładną receptę na przygotowanie „Mimozy”. Dyplomata ów, znalazłszy się po upadku carskiej Rosji w Polsce, zmuszony był przez ciężkie warunki materialne do odprzedania recepty „Mimozy”. Nabyło ją Laboratorium Kosmetyczne „Perfection” w Warszawie.

Krem przeciw piegom, plamom i opaleniznie.

Na żadną chyba dolegliwość niema tak wielkiej ilości specyfików, jak na piegi, plamy i opaleniznę. Wystarczy wziąć do ręki pierwszą lepszą poczytniejszą gazetę, a przekonamy się, że z chwilą, gdy słońce zacznie przygrzewać, prawie dziesiąta część ogłoszeń ofiarowuje radykalne środki, które w większości wypadków całkowicie zawodzą. Jednym z najbardziej wypróbowanych i najlepszych środków przeciwko omawianym dolegliwościom jest krem „Preciosa”, który, działając łagodnie, nie powoduje żadnych opryszczeń ani zaognień skóry.

Włoski olejek orzechowy.

Przy modnem obecnie opalaniu się, polecamy *olejek orzechowy*, który, strzegąc przed słonecznymi porażeniami skóry, sprzyja jednocześnie szybkiemu przybieraniu pożądanego koloru „ocre”.

Mme Ercédes.

Treść Numeru 73-go

	Str.
<i>T. M. Narolewski:</i>	
Albert, król Belgów (1 ilustracja)	3—6
<i>Anotol Muhlstein:</i>	
Stulecie niepodległości Belgji (12 ilustracji)	7—16
<i>Destrée:</i>	
Prymitywy flamandzkie (11 ilustracji)	17—24
<i>M. Strackmans:</i>	
Architektura i zabytki architektoniczne Belgji (7 il.)	25—34
<i>Eustachy Czekalski:</i>	
Bez niespodzianek (3 il. Bogdana Nowakowskiego) .	35—44
<i>Edward J. Kuryło:</i>	
Tańce w Indjach (8 ilustracji)	45—52
<i>B. Szarlitt:</i>	
Sztuczny człowiek (2 ilustracje)	53—56
Ilustracje	57—64
<i>Inż T. Zamoyski:</i>	
Romantyzm chemji (12 ilustracji)	65—76
<i>Stella Olgiard:</i>	
Główna wygrana (6 ilustracji)	77—90
<i>Jerzy Borycki:</i>	
Chester Conklin (4 ilustracje)	91—94
<i>Z. K.:</i>	
Niezdrowy wyścig w budowie kolosów transocean.	95—96
Ilustracje	97—100
Uroda życia (7 ilustracji J. Zaruby)	101—104
<i>Bronisław Stefanowski:</i>	
Powitanie wiosny (7 ilustracji)	105—116
<i>Juljan Sobiesz:</i>	
Hallo... hallo—mówi Bell... (7 ilustracji)	117—124
<i>M.:</i>	
Fenomenalny rachmistrz (4 ilustracje)	125—130
Tragedja pustyni (ilustracja M. Walentynowicza) .	131—132
Ilustracje	133—136
<i>Z. K.:</i>	
Rzemiosła w starożytnym Egipcie	137—138
<i>Irena Zarzycka:</i>	
Wiersze (2 ilustracje)	139—144
<i>Jim Poker:</i>	
P.-Pal (5 ilustracji M. Walentynowicza)	145—156
Rozrywki umysłowe (3 ilustracje)	157—168

Okladkę kolorową wykonał Z. Junosza-Olszakowski

Adres Redakcji i Administracji
 „N A O K O Ł O Ś W I A T A”
 Warszawa. Zgoda 12, tel. 122-14
 Telefon ekspedycji 104-32

Redaktor przyjmuje interesantów w *czwartki i soboty*
 od godz. 13 do 15

Administracja czynna codziennie od godz. 8 do 15

Prenumerata kwartalna w kraju, wraz z przesyłką, wynosi
 6 zł. 50 gr., zagranicą 10 zł. 50 gr.

Zeszyt pojedynczy 2 zł. 50 gr.

NAOKOŁO ŚWIATA

Nr. 73

MAJ 1930 R.



Il y aura bientôt un siècle, la Belgique renaissait à l'indépendance et la Pologne semblait à tout jamais perdue. Mais les peuples qui ont foi en leur destinée ne périssent point. La Pologne, comme la Belgique l'ont prouvé avec éclat

22 Janvier 1930

Albert

W roku bieżącym dzielny naród belgijski święci stulecie swej niepodległości. Z tej przyczyny poświęcamy Belgji, związanej z Polską więzami przyjaźni, część niniejszego numeru.

Jego Królewską Mość król Belgów, Albert I, przyjmując na specjalnej audjencji naszego współpracownika, raczył ofiarować nam swój portret z własnoręcznie wpisaną na nim sentencją, która w przekładzie polskim brzmi:

„Mija sto lat od chwili, gdy Belgja odradzała się do niepodległości, a Polska zdawała się ginąć nazawsze. Ale narody, które wierzą w swoje przeznaczenie, nie giną nigdy. Polska i Belgja dowiodły tego wspaniale.

22 stycznia 1930.

Albert”.

Kiedy przed szesnastu laty na ziemi Belgów rozszalała straszna zawierucha wojenna, zagrażająca istnieniu wolnego państwa, bohaterski król Albert sam stanął na czele broniącej niepodległości kraju armji. Cała zjednoczona wobec grożącego niebezpieczeństwa Belgja skupiła się wówczas zgodnie i z ufnością koło osoby monarchy, który w najcięższych nawet chwilach próby potrafił mocą swego ducha krzepić upadające pod ciężarem wydarzeń siły narodu. Król, stał się wówczas nie tylko wodzem armji, lecz również duchowym przywódcą całego narodu, był symbolem umiłowania Ojczyzny, uosobieniem jej bohaterstwa i wielkości.

Królowi Albertowi zawdzięcza Belgja w wysokim stopniu swój dzisiejszy byt i dorobek kulturalny lat ostatnich, uzupełniający pełen świetności okres przedwojenny.

Dziś, gdy Belgja uroczystie obchodzi święto swego stulecia, wolna i niepodległa Polska łączy się w radosnem uczuciu z bliskim nam narodem belgijskim, życząc z całego serca jego krajowi dalszego pomyślnego na chwałę ludzkości rozwoju.

Redakcja.

Albert, król Belgów

Ze wszystkich bohaterów wojny europejskiej, którzy na zawsze żyć będą w pamięci potomnych pokoleń — mówi Maurycy Maeterlinck, jedną z najpiękniejszych postaci — jest bezsprzecznie król Albert. Był on symbolem zwycięstwa dla swego narodu, był ostoją i pokrzepieniem serc dla wszystkich znękanych i cierpiących obywateli. Gdy cała Europa drżała pod stopami najeźdźcy, a Belgja tonęła w ogniu i krwi, gdy miasta Dinant, Charleroi, Mons, Namur przestały formalnie istnieć, a Bruksela, Gandawa i Ypres stały pod gradem kul armatnich wroga, który nie zważał na ich wartość historyczną i artystyczną, — król Albert, monarcha bez ziemi, trwał na straży honoru nie tylko swego kraju, ale i całej Europy. Gdyby zapytano

go jak się skończy ta krwawa zawierucha, rozszalała nad jego krajem, odpowiedziałby zapewne słowami Sawonaroli, iż końcem każdej walki jest zwycięstwo. Najlepiej charakteryzuje moc duchową króla odezwa, jaką wydał do żołnierzy i narodu w pamiętnym dniu 5 sierpnia 1914 roku. „Zwyciężymy, bo jesteśmy siłą na usługach prawa... Cezar powiedział o przodkach waszych, iż wśród Gallów najwaleczniejsi są Belgowie... Bez najmniejszej prowokacji z naszej strony dumny ze swej siły sąsiad rozdarł traktaty, które noszą jego podpis i pogwałcił ziemie ojców naszych... Żołnierzy, opuszczam stolicę, aby stanąć na waszem czele”. Na apel ten wszyscy obywatele stanęli jak jeden mąż przy osobie monarchy tak, iż śmiało powie-

dziec możemy, że król był z narodem, a naród z królem... Flamandowie i Wallonowie, kościół z kardynałem Mercier, demokraci i socjaliści z panami Vanderveldem i Destrée, Maeterlinck i Verhaeren, bohaterski burmistrz Brukseli, Adolf Max, a szczególnie wojsko, z którym król dzielił trudy wojenne, było gotowe do największych ofiar za ojczy-

zną i koronę... Rozpoczęły się dni tragiczne dla narodu belgijskiego. Po bohaterskiej obronie Liège, generał Lemon, belgijski Wołodyjowski, broni się do ostatniej kropli krwi, wysadzając fort Loncin w powietrze. Zażarcie bronili swej ziemi bohaterowie z nad Sambry i Mozy, zaszcierałając trupami żyzne pola Flandrii. Wojska z rozkazu króla cofały się przed przemożną siłą najeźdźcy w stronę Antwerpii, w której szukano oparcia przeciw stu trzydziestu tysiącom wroga pod wodzą generała Beselera. Dziesiątego sierpnia wojska nieprzyjacielskie zdobywają

Antwerpię. Znekana armja przedostaje się jednak szczęśliwie do Ostendy. Szarpana przez licznego przeciwnika, upada na duchu i traci nadzieję zwycięstwa. Król znów słowami pełnymi mocy wzywa do wytrwania. „Nadzieję waszą pokładajcie w przyszłości i w męstwie... Na pozycji, jaką wam wyznaczę, niech wzrok wasz kieruje się jedynie naprzód... Chwila się zbliża, kiedy z pomocą

naszych sojuszników uwolnimy ojczyznę naszą”... Chwila ta jednak była daleka. Całą uwagę swą koncentruje wróg na Yzerę, rozpoczynając wielką ofensywę. Mimo posiłków przysłanych przez generała Focha, belgijski sztab generalny czuje swą słabość. Mimo to zdobywa się na czyn heroiczny. Otwarto tamy i żyzne łany ojczyste zamieniono w wod-

ną pustynię. Furor teutonicus został osłabiony tym czynem. Rozpoczynają się jakże długie i uciążliwe walki, którymi kieruje roztropnie monarcha belgijski, otrzymawszy komendę nad nowymi oddziałami od marszałka Focha... Z radością śledziła Polska bohaterskie wysiłki Belgów, którzy odzyskiwali ziemię ojczystą piędź po piędzi. Dnia 22 listopada 1918 roku król Albert wkroczył uroczyście do odzyskanej stolicy, witany jako oswobodziciel ojczyzny i chrześcijaństwa, jak się wyraził Ojciec święty do dziś już nie żyjącego kard. Merciera...



Królowa belgijska Elżbieta

Dziś, gdy Belgja święci stulecie swej niepodległości, czyniąc bilans swego dorobku gospodarczo kulturalnego, urządzając wielkie wystawy w Liège i Antwerpii, naród polski, ceniący wysiłek i heroizm, łączy się w roku stulecia bohaterskiego kraju w uczuciu radości z narodem złączonym z Polską więzami szczerzej przyjaźni.

T. M. Narolewski

Stulecie niepodległości Belgji

Stuletnie dzieje narodu belgijskiego wykazują w przekroju historycznym trzy okresy, pełne chwały i powodzeń, nieodłącznie związane z imionami trzech monarchów, których dała krajowi panująca dynastia.

Leopold I ugruntował niepodległość, świeżo zdobytą w walkach ulicznych, a z tego tytułu wielce podejrzana w oczach ówczesnych mężów stanu.

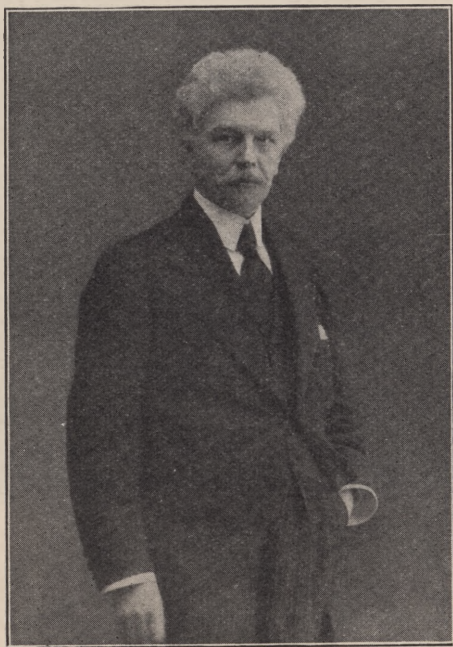
Piętnaście zaledwie lat upłynęło od chwili, kiedy zebrani w Wiedniu monarchowie, ministrowie i dyplomaci, dumni ze swych zwycięstw nad Napoleonem, zbudowali nową, na świętym przymierzu opartą Europę.

Z tej racji mogła rewolucja belgijska być popularna i mile widziana w kołach politycznych ówczesnej Europy, zainteresowanych w utrzymaniu status quo.

Z trudem zbudowany gmach równowagi europejskiej zaczął się chwiać i pękać. Podejrzliwe oczy Palmerstona bacznie obserwowały każdy ruch Ludwika-Filipa, zmierzający ku żywszej inicjatywie w sprawach belgijskich, a cóż dopiero mówić o sentymentach mocarstw germańskich, o postawie Rosji pod berłem Mikołaja I? Atmosfera w gabinetach rządowych nie była przychylna dla

Belgji i trudno przewidzieć jakie przeszkody musiałoby zwalczać nowopowstałe państwo w pierwszych latach swego istnienia, gdyby szczęśliwem zrządzeniem losu nie stanął wówczas na jego czele Leopold I, niezrównany mąż stanu, najlepszy znawca Europy, mądry, ostrożny, energiczny i umiarkowany. Osoba

Leopolda I była dla mocarstw gwarancją, że Belgja pokieruje swemi losami w sposób rozważny, uwzględniający postulat równowagi europejskiej i interesy pokoju. Nieocenionym dla Belgji kapitałem politycznym były te uczucia czci i życzliwości któremi na wszystkich dworach i we wszystkich stolicach Europy otaczano jej pierwszego króla. Długie, trzydzieści pięć lat trwające, panowanie Leopolda I przyczyniło się nie tylko do ugruntowania sytuacji międzynarodowej Belgji, ale i nie mniejsze dało rezultaty w dziedzinie gospodarczej i



*Prezes Rady Ministrów
Jaspars*

wewnętrzno-politycznej. Pod światłem kierownictwem Leopolda I Belgja do tego stopnia skonsolidowała się ostatecznie, że kryzys, wywołany katastrofą II Cesarstwa, przetrwała bez najmniejszego szwanku.

Ze wstąpieniem na tron w 1865 roku Leopolda II zaczyna się druga era w życiu Belgii, era ekspansji kolonialnej, zwycięskiego pochodu pracy belgijskiej, era wielkich, światowej miary sukcesów, która z małego kraju z niewielką ludnością uczyniła wielkie mocarstwo ekonomiczne i finansowe, z którego zdaniem i interwencją liczą się na wielkich rynkach świata. W r. 1876 zbiera się w Brukseli pierwsza, przez Leopolda II zwołana, konferencja dla omówienia spraw kolonizacji Afryki, dając początek jednej z najbardziej zdumiewających akcji kolonialnych, jaką znała dzieje świata.

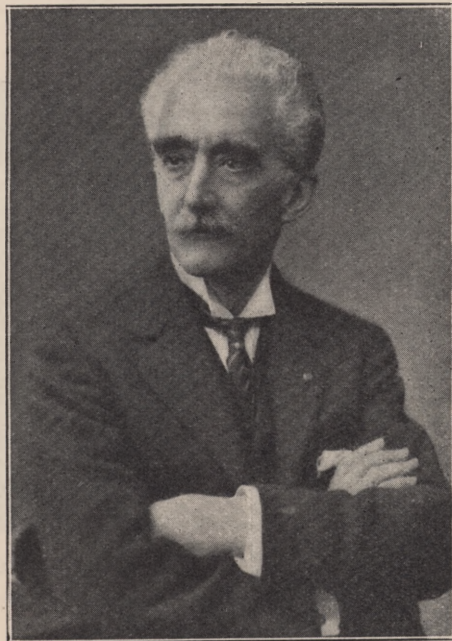
W historii zdobycia i eksploatacji Kongo, wpływ Leopolda II, jego woli, jego geniuszu dyplomatycznego, jego umiejętności posługiwania się ludźmi, odgrywa rolę przemożną do tego stopnia, że śmiało można rzec, iż gdyby tego wielkiego monarchy zabrakło, stan posiadania Belgii w Afryce nie byłby zapewne tem, czem jest obecnie.

Genjuszowi więc Leopolda II Belgja zawdzięcza dziś posiadanie kolonii, czyniącej z niej największego producenta miedzi, kobaltu i radu, dającej jej w szeregu wielkich potęg miejsce poczesne, i której dobroczynne dla kraju skutki dopiero przyszłość w całej swej rozciągłości pokaże.

Pod roztropnem kierownictwem Leopolda I Belgja ugruntowała i zabezpieczyła swą niepodległość. Potężna wola Leopolda II

wyprowadziła ją na wielkie szlaki oceaniczne, na których zdobyła bogactwa, wpływy i znaczenie światowe. Zdawało się, że dobrotliwy los zapewnił trzeciemu z kolei monarche belgijskiemu spokojne i szczęśliwe panowanie.

Wojna światowa inaczej zrządziła. Zbędną byłoby rzeczą pokusić się w krótkim artykule o scharakteryzowanie tych burzliwych, pełnych nieszczęść i chwały kilkunastu lat historii Belgii. Opromienia je gloria zwycięstwa, na którego tle zajaśniało piękne imię Alberta I.



*Minister Spraw Zagranicznych
Hymans*

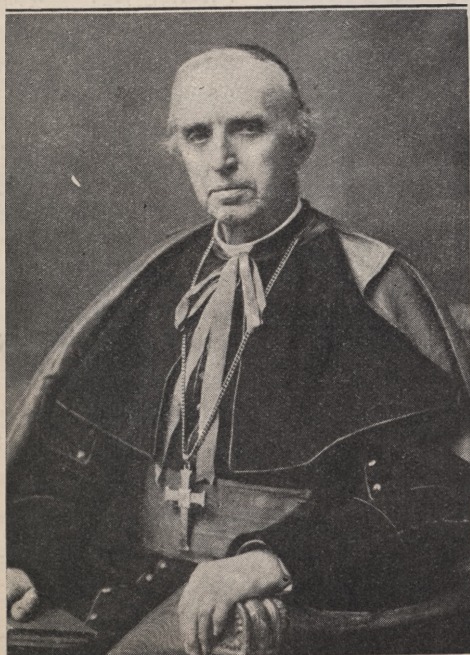
Przyszły historyk, badając rolę odegraną przez obecnie panującego króla Belgii, bezsprzecznie wyznaczy mu zaszczytne miejsce obok wielkich poprzedników. Świat cały zna dzieje żołnierskie króla Alberta, jego dumną, nieugiętą postawę wobec najeźdźcy, jego wpływ na losy Belgii walczącej i zwycięskiej.

Od chwili zawieszenia broni upłynęło już przeszło jedenaście lat, w których ciągu Belgja dokonała niezwykłych wysiłków, w swej pracy reorganizacyjnej, Czteroletnia okupacja pozostawiła ten kraj bez zasobów z warsztata-

tami pracy, leżącymi w gruzach. Odbudowano nie tylko ruiny wojenne, ale i podjęto na nowo ekspansję zewnętrzną. Miljardowe straty, poniesione zarówno w kraju z powodu okupacji, jak i zagranicą na skutek przewrotu bolszewickiego — w samej Rosji utracone wierzitelności belgijskie wynosiły przeszło



Minister stanu E. Francqui



*Wielki patrjota belgijski
ś. p. kardynał Mercier*

2 $\frac{1}{2}$ miljarda złotych franków — zostały wyrównane. Sytuacja gospodarcza Belgii w chwili obecnej pod wieloma względami góruje nad stanem przedwojennym, szczególnie jeśli chodzi o bilans handlowy.

A zawdzięcza to kraj przede wszystkim wielkiej reformie finansowej dokonanej przez gabinet p. Jaspara, który doszedł do władzy w 1926 roku. W obliczu grożącej katastrofy monetarnej, pomimo ostrych walk partyjnych, u steru stanął rząd zgody narodowej, oparty o koalicję katolików, liberałów i socjalistów. rząd ocalenia publicznego, który dzieło sanacji powierzył doświadczonym ręk



*Burmistrz Antwerpii
F. Van Cauvelaert*

kom Emila Francqui, uposażonego w dyktatorskie pełnomocnictwa. Ten największy z obecnie żyjących Belgów, ongiś młody oficer zawodowy, współpracownik Leopolda II w Kongo, wykonawca jego planów na Dalekim Wschodzie, Prezes Komitetu Narodowego Belgijskiego podczas okupacji, delegat belgijski w Komitecie Dawesa i Younga, mąż stanu, finansista, przemysłowiec, natura nawskroś kierownicza, na wezwanie króla Alberta i przy jednomyślnem poparciu opinii

publicznej, oddał się całokształtowi dzieła reformy finansowej i gospodarczej jako minister bez teki w gabinecie p. Jasparsa. W niespełna sześć miesięcy potem ustąpił z rządu, przeprowadziwszy cały swój plan sanacji skarbowej: stabilizację franka, reformę kolejnictwa przez ukonstytuowanie to-



*Posel belgijski
w Warszawie
Min. de L'Esceil*



*Posel polski w Brukseli
Min. T. Jackowski
i jego małżonka
(według port. Berlewi)*

*Konsul generalny R. P.
w Brukseli Vaxclaire*



warzystwa o specjalnym charakterze prywatno-rządowym, któremu oddano zarząd i eksploatację kolei państwowych, reformę podatkową i reorganizację Banku Emisyjnego.

Stabilizacja belgijska okazała się najlepszą i najrozwężniejszą ze wszystkich tego rodzaju

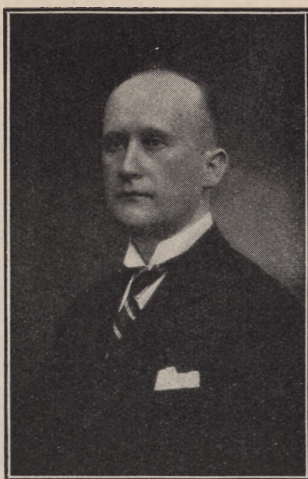
operacji, przeprowadzonych w Europie, oszczędziła ona krajowi kryzysu przemysłowego, który dla Belgji, żyjącej z eksportu, mógłby być zgubny.

Dzieje tej reformy finansowej malują dokładnie charakter narodowy Belgów, w którym rozważa, instynkt jedności



i zgody biorą zawsze w obliczu niebezpieczeństwa górę nad najbardziej nawet rozpalonymi namiętnościami politycznymi.

Kończąc pierwsze stulecie swej niepodległości, Belgja może z dumą spojrzeć na swoją przeszłość i z ufnością rozpoczynać

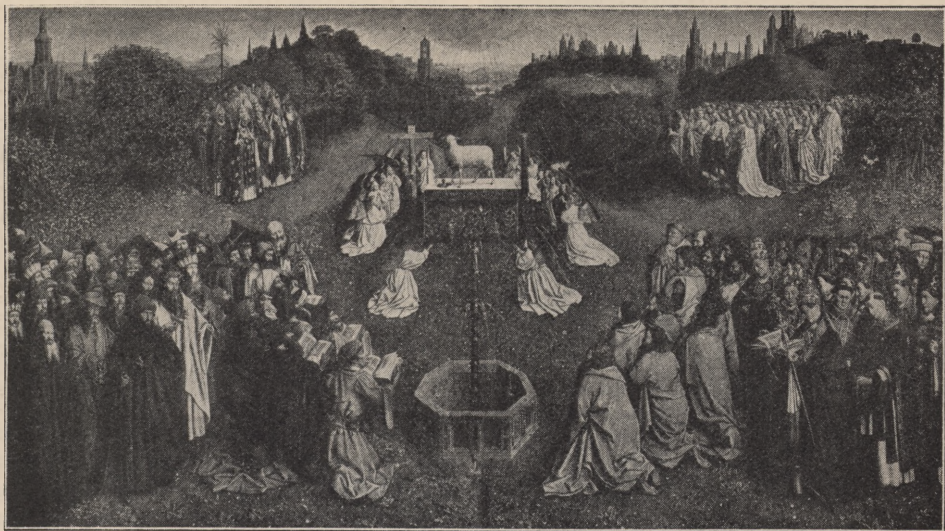
Konsul M. Chiczewski*Konsul generalny R. P.
w Antwerpii T. Biliński**Wice-konsul R. Kwiecień*

swój pochód ku przyszłości. Te same zalety charakteru narodowego, które pozwoliły Belgji wyjść zwycięsko z katastrofy wojennej i trudności finansowych, umożliwią również szczęśliwe rozwiązanie narzucających się jej w tej chwili zagadnień językowych.

Ale i w tej najtrudniejszej, najdrażliwszej dziedzinie, ostatnie miesiące przyniosły wielką ulgę. Toczące się obecnie w parlamencie

obrazy nad flamandyzacją uniwersytetu gandawskiego świadczą, że i tutaj zbliża się chwila decyzji ostatecznej, decyzji rozumnej, podyktowanej wolą zachowania zasadniczej jedności kraju przy jednoczesnem uwzględnieniu potrzeb kulturalnych obu zamieszkujących go ras.

*Anatol Muhlstein,
Radca Ambasady*



Van Eyck. Adoracja baranka mistycznego

Prymitywy flamandzkie

Prowincje belgijskie wydały na świat w wiekach XV, XVII i XIX całe plejady znakomitych artystów. Wystarczy wymienić nazwiska tej miary co Jan i Huber Van Eyck, Rubens i Konstanty Meunier, aby dać pojęcie o wielkości malarstwa belgijskiego.

Zasadniczo flamandzką jest tylko sztuka XVII-go wieku z Rubensem, Van Dyck'em i Jordaens'em. Sztuka XIX w. powinna się nazywać belgijską, a sztuka XV-go wieku tak przekracza granice Flandrii, iż śmiało możemy jej dać miano sztuki europejskiej. Wpływy jej sięgały po Niderlandy Północne, kraje nadreńskie, Szwajcarję, Portugalję, Hiszpanję, a nawet Italię.

Nazwa prymitywów także nie jest

zbyt szczęśliwa w znaczeniu czegoś pierwotnego, niewykończonego; artyści wieku XV-go są przeciwnie mistrzami bez zarzutu o wielkiej technice i doskonałości. Taka np. „Adoracja Baranka” braci Huberta i Jana Van Eyck'ów należy do najbardziej wspaniałych i doskonałych kompozycji w sztuce malarskiej; naj-

wieksi portreciści wreszcie nie dorównali młodszemu bratu Janowi w tej sztuce.

Pojawienie się tych malarzy jest faktem historycznie tak doniosłym, iż legenda przypisuje im wynalezienie malarstwa olejnego, a nawet samego malarstwa — jako takiego. Malarstwo olejne było znane w wieku poprzednim, a bracia Van Eyck'owie prawdopodobnie wynaleźli i



Memling. Męczeństwo Św. Sebastjana



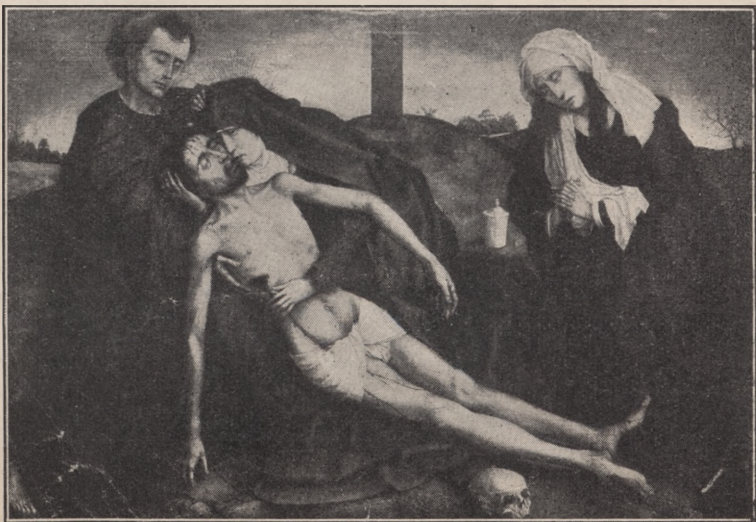
H. Bouts. Sąd Ottona

zastosowali jakiś system ulepszony. Malarstwo uprawiane było na dworze ks. de Barry. Minjaturzyści Andrzej Beauneveu i Melchior Broederlam z Ypres znani byli z tego kunsztu. Cud ten, gdyż powstanie malarstwa olejnego uważane być nie przestaje za cud, stał się przed braćmi Van Eyck'ami, oni jednak, chociaż nie pierwsi historycznie, pierwszymi są co do zasługi i otwierają wspaniałe poczet malarzy pierwszorzędných, którzy przez cały wiek kroczyli drogą wytkniętą przez nich.

Stary napis na

*Roger Von der
Weyden*

Pieta



ramie „Adoracji Baranka” zaznacza, iż Hubert dzieło rozpoczął, a Jan wykończył. O Hubercie zasadniczo niewiele wie historia, poza datą śmierci (1426). Prawie wszystkie zbiory europejskie szczytą się posiadaniem jednego z dzieł Jana Van Eyck'a, którego data urodzin jest nieznana. Zmarł w roku 1441. „Adoracja Baranka” została rozdzielona i rozrzucona po świecie; po wojnie światowej odrestaurowano ją i umieszczono na dawnym miejscu w kaplicy Św. Bawona w Gandawie.

Często cytuje się, jako ucznia Van Eyck'a *Petrusa Christusa* (1410—1472), artystę drugorzędnego, bez wielkiej oryginalności, ale zdolnego do naśladownictwa mistrzów współczesnych. Z pewnością wielki wpływ wywarł na niego Van Eyck, większy jednak jeszcze artysta, którego pospolicie zwie się mistrzem Flémalle, a którego ostatnie badania identyfikują z Robertem Campin z Tournai urodzonym w Valenciennes, mieszkającym w Tournai w 1406 r. (zm. 1444).

Chociaż podlega jeszcze dyskusji tożsamość osób Flémalle-Campin, ustalone jest jednak, iż w Tournai urodził się około roku 1399 Roger de la Pasture, którego nazwano w Brukseli *Rogerem Van der Weyden* (de la Pasture, po flamandzku Van der Weyden, po polsku Roger z pastwisk). Rejestry związku malarzy z Tournai wskazują, że Roger de la Pasture i Jan Daret byli uczniami mistrza Roberta Campin. Wszystkie dzieła Rogera, z wyjątkiem portretów, są dziełami



Gérard

David.

N. Panna

z Dzie-

ciatkim

religijnymi o technice równie doskonałej jak u Van Eyck'a; przewyższają może mistrza formą emocjonalną i patetyczną. Najbardziej znanym jego obrazem jest „Zdjęcie z Krzyża” malowane dla arbatetriery Lowanjum. Sprzedany w Hiszpanji, obecnie znajduje się w Eskurjalu. Tragiczna „Pieta”, albo wdzięczna postać Najświętszej Marii Panny to najulubieńsze tematy Rogera naśladowane przez jego szkołę przez całe stulecie. (Zmarł w 1464 r.). Zachodzi pytanie, czy dwaj wielcy przedstawiciele następnego pokolenia, Thierry Bouts (ur. około 1400 r. w Haarlemie, zmarł w 1475 r.) i Jan Memling, kształcili się w pracowni Rogera. Jest to bardzo możliwe, aczkolwiek niedowodzone. W obrazach ich znać wielki wpływ Rogera, i często dzieła anonimowe tego mistrza przypisuje krytyka Memlingowi i Boutsowi. A jednak obrazy najcharakterystyczniejsze Bouts'a i Memling'a różnią się w technice malarskiej. Ścisłość rysunku Bouts'a graniczy nawet z pewną oschłością i sztywnością, wrażenie to jednak łągodzi bogactwo kolorytu. U Memlinga, przeciwnie, dusza dzieł jest wprost niewieścia, pełna słodczy, wdzięku i marzenia. Thierry Bouts malował dla Lowanjum

obrazy przeważnie na tematy prawne, nawiązując do rozbajającego zwyczaju średniowiecznego, polegającego na przypominaniu sędziom o możliwości omyłek.

Główne dzieło Jana Memlinga (1430—1499) przechowuje się w Brugji w szpitalu Św. Jana (niezrównany „Grób Św. Urszuli”). Współczesny tym mistrzom jest Hugo van der Goes (1440—1482), pracujący w Gandawie. Zastępuje na pierwsze miejsce w rzędzie malarzy flamandzkich z powodu swej „Adoracji Pasterzy” znajdującej się obecnie we Florencji, a wykonanej dla bogatego kupca włoskiego w Brugji z rodziny Portinari. Wreszcie Gérard David (1460—1523) w Bru-

gii, który jest jakoby sztandarem szkoły flamandzkiej, maluje także obrazy sądownicze. Jego większe kompozycje odznaczają się podniosłością stylu, charakteru, a mniejsze obrazy, szczególnie „Madonny”, odbiegają od książęcych typów Rogera; są bliskie życiu codziennemu i zadziwiają realizmem. U wszystkich malarzy flamandzkich wysuwa się troska o pejzaż, jedynie jako o dekorację np. okna otwartego, lub tła do sceny religijnej. Joachim Patenier z Malines (1480—1524) uważał pejzaż za tło za-



Van der Goes. M. Boska z Dzieciatkim

Quintus

Metsys.

N. Panna

z Dzie-

ciatkim





*Bruegel (Młodszy)
Rzeź niewiniątek*

należy do opisanych dzieł i te również, które zrodziły strach przed szataniem.

Jérôme Bosch van Aken (1460—1518), pracujący przeważnie w Antwerpii, zapragnął wyrazić koszmarnie niepokojące jego duszę, czego przykład widzimy szczególnie w jego „Kuszeniach Św. Antoniego”. Jest to malarz potwo-

row i dziwactw, o chorobliwej fantazji. Obok Jérôme Bosch'a wymienić musimy Piotra Broeghel'a (1525—1569) zwanego starym, który upodabnia się bardzo do poprzedniego przez formę fantastyczną. Zasługą jego jest, iż zbliżył się bardziej do natury w chwili cudownego rozkwitu sztuki włoskiej. Brueghel jest czuły tylko na pejzaż brabantki (okolic Brukseli) albo na sceny z ewangelji na tle pejzażu kraju ojczystego. Ostatni z prymitywistów jest pierwszym malarzem nowożytnym.

Destrée,
Minister Oświaty



Bosch. Kuszenie Św. Antoniego



Katedra w Tournai

Architektura i zabytki architektoniczne Belgji

Najwcześniejsze zabytki architektoniczne Belgji sięgają XI wieku. Z epoki romańskiej, której styl wytworzył się w prowincjach francuskich, zanim przeniósł się do Belgji i Niemiec, wymienię szczególnie pozawagę katedry w Tournai, kościół Św. Gertrudy w Nivelles, kościół Św. Bawona w Gandawie, kościół w Soignies i klasztor w Tongres.

Katedra w Tournai jest bezwarunkowo najwspanialszą budowlą w Belgji (rys. 1), a jedną z najpiękniejszych w Europie. Nawa pochodzi z XI wieku, portale boczne z drugiej połowy XII wieku. Wielki rozrost katedry z biegiem lat wyciska na niej tak rzadkie piętno dostojności, harmonją zaś proporcji i szlachetnością linii rywalizuje z imponującymi katedrami w Laon, Saisons lub Norwich. Dziedzina szkoły romańskiej — mówi słynny uczony belgijski, Laurent — obejmuje całą dolinę Mozy i większą część prowincji Bra-

bantu i Hainaut. Granicą jej jest dolina Skaldy, gdzie architektura upodabnia się do architektury północnej Francji. Jest to więc strefa przede wszystkim wallońska.

Co do architektury świeckiej szkoły romańskiej, to niewiele tych zabytków posiada Belgja; istnieje jeszcze kilka domów z kamienia w Tournai, jak również dwa zamki, jeden w Gandawie, drugi zamek Buliona, (ten ostatni niestety bardzo przebudowany). Dopiero gotyk daje Belgji majestatyczne budynki, harmonją formy i szlachetnością proporcji rywalizujące z budowlami kościelnymi. Poczynając od wieku XIII, rzadko spotkać można w Belgji budowle kościelne o formie ostatecznie wykończonej. Wydaje się — powiada Spiers — iż zapal architektów i budowniczych ostrył i przeniósł się na ratusze, sukienice i baszty. Dowód to, zdobytych za



Biblioteka Królewska w Brukseli (Dawny pałac ks. Karola Lotaryńskiego)

cenę bohaterskich walk, swobód gminnych, a jednocześnie bogactwa i gospodarczego dobrobytu. Nie mniej jednak posiada Belgja wiele architektonicznie bardzo ciekawych świątyń. Wspomnę tylko o chórze w Tournai, utrzymanym w najczystszej stylu francuskim; o Notre-Dame de Pamele w Audenarde, o ruinach kościoła opactwa w Villers, o kościele Kaplicy Brukselskiej, o Notre-Dame w Tongres, Notre-Dame w Huy, Notre-Dame w Hall, o kościele św. Guduli w Brukseli, Notre-Dame w Antwerpii, i o kościele św. Rombeaut w Malines. Kościoły te jednak nie odznaczają

się bogactwem rzeźbiarskim świątyń francuskich tejże epoki. Bogactwo to występuje, jak wspomniałem, jedynie w architekturze świeckiej.

Najbardziej starano się przyozdobić ratusze, wśród których na pierwsze miejsce wysuwają się ratusz Brukselski (1402), Lowański i ratusz w Audenarde. Ratusz

Lowanjum jest wyjątkowo piękny (rys. 4). Ozdobiony statuetkami i baldachimami, pokryty zadziwiająco złożonym ulistwieniem, przyozdobiony jest wielką mnogością motywów dekoracyjnych. Koronkowa ta budowla stanowi



*Gmach sądu
najwyższego
w Brukseli*

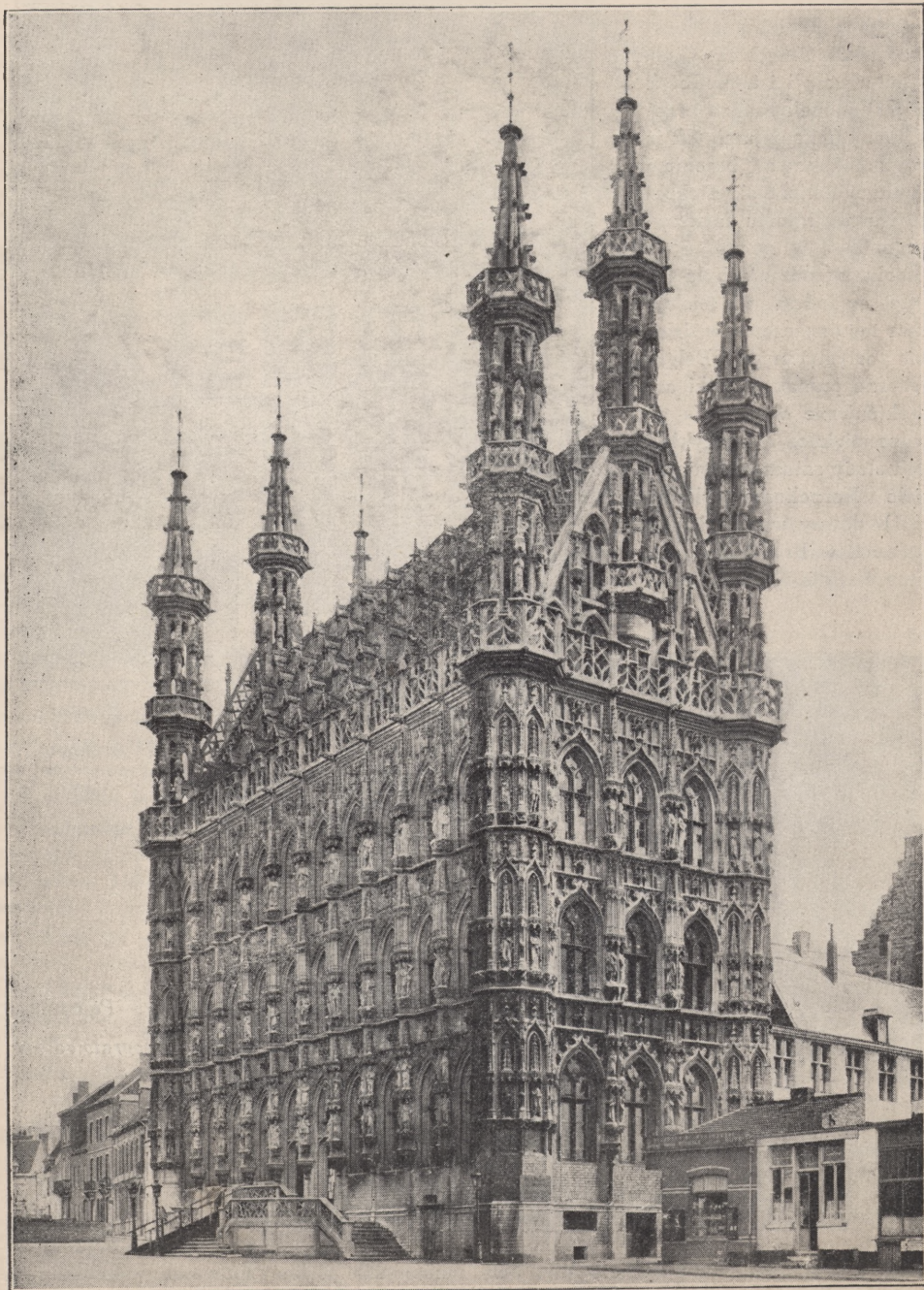


*(największy
pałac
sprawiedli-
wości
na świecie)*

arcydzieło pracy genialnego architekta, Mateusza Layensa.

Wśród innych budowli piękne są sukiennice w Brugji i Ypres (po wojnie odbudowa-

ne). Gmachy te często posiadały baszty, jak np. w Brugji. Niekiedy również baszta — ów zwiastun buntu — tworzy oddzielny budynek, jak w Tournai, lub też stanowi część

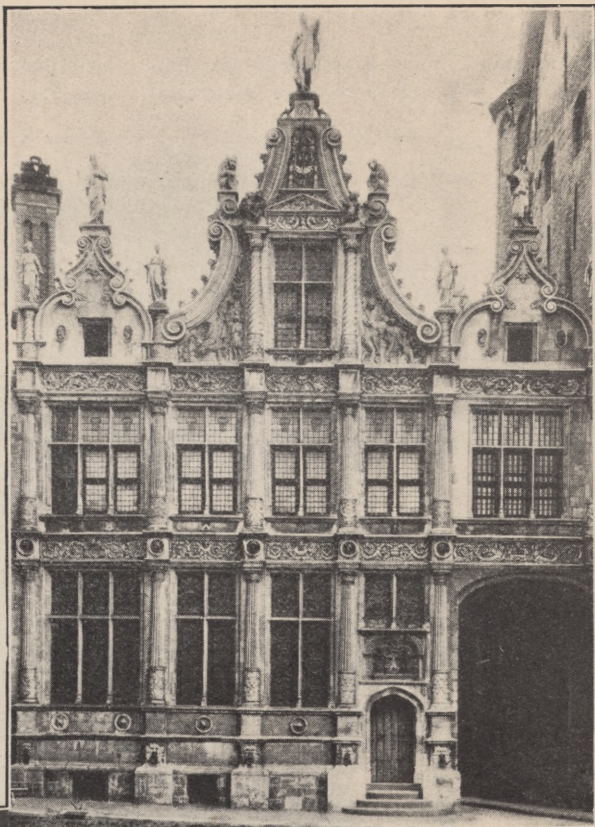


Ratusz w Lowanjum

ratusza, jak w Alost. Najwięcej baszt spotykamy we Flandrii.

Przez cały w. XV budowano wiele kościołów w stylu gotyckim, jak św. Piotra w Lo-wanium, św. Waudru w Mons; z budynków świeckich: Giełdę w Antwerpii i t. p. Gotyk ten jest jednak bardzo przeładowany dekoracjami, tak iż można go nazwać barokiem gotyckim, i wiąże się z okresem rozkwitu portu antwerpskiego.

Epoka odrodzenia była jedynie epizodem w ścisłym słowa tego znaczeniu w dziejach artystycznych Belgji. Nieliczne jednak zabytki architektoniczne odrodzenia są bardzo piękne. Za przykład niech służy ratusz Antwerpii, dzieło Korneliusza Florisa (1561), dawny urząd pisarzy sądowych w Brugji (rys. 5), dzieło Wallota, i pałac spra-



*Bruges
Archiwa
akt
sądowych*

*Pałac
sprawiedll-
wości
w Leodjum
Podwórzec*

wiedliwości w Liège (rys. 6), dzieło Aert Van Mulckena (1526) o gotyckich oknach i renesansowych krużgankach, które zawierają dwa

niezwykle piękne podwórze, urokiem swym przypominające niektóre budowle polskie. Co do baroku, to chociaż styl ten jest pocho-



Pałac sztuk pięknych w Brukseli

dzenia włoskiego, podlegał on przemożnemu wpływowi Rubensa, którego geniusz teatralny nie tylko wpłynął na malarstwo, ale i na rzeźbę i budownictwo.

Styl ten znalazł licznych zwolenników w Jezuitach. Z początku wysuwa się nieśmiało, jak w kaplicy jezuickiej w Tournai, utrwała się dopiero przez brata Huysse na w Kolegium w Maestricht i w kaplicy św. Loup w Namur (1603). Architektura świecka uniknęła częściowo tych skutków teatralnej mody, a to z tej racji, iż do budowania domów używano cegły, dzięki czemu budowle XVII stulecia (zwłaszcza w Mons i w Liège) zachowały do dziś dnia wygląd francuski, względnie renesansowy. Najpiękniejszym całokształtem zabytków barokowych jest bezsprzecznie rynek Brukselski, pozostawiający niezapomniane wrażenie mimo drobnych braków estetycznych.

Budownictwo belgijskie odzyskuje dopiero czystość linii pod wpływem Francji w końcu XVIII wieku. Sztuka ta, zwana neoklasyccyzmem, nadaje budowlom wygląd surowy i uroczysty. W Brukseli wybijają się trzy

nazwiska z pośród szeregu architektów a mianowicie: Guimard'a, Dewez'a i Montoyer'a. Im to zawdzięcza Bruksela budynki, które sąsiadują z pałacem królewskim. Wymienię tylko dawny pałac Karola Lotaryńskiego (rys. 2) (dziś bibliotekę królewską) i dawny pałac Belle Vue.

Wiek XIX w architekturze belgijskiej, jak zresztą w całej Europie, jest wiekiem nasładownictwa i stagnacji, czego przykładem bank Narodowy w Antwerpii (dzieło Beerta) i kolosalny Pałac sprawiedliwości w Brukseli (dzieło Poelaerta 1883).

Z nastaniem doby współczesnej rozkwita ponownie w Belgji architektura, która w przeszłości stworzyła tyle arcydzieł. Z wielu nazwisk ograniczam się tylko do wspomnień o wielkim talencie Van de Velde, Horta, (który ukończył budowę nowego Pałacu Sztuki w Brukseli), L'Acoste'a, De Ligne'a, Burgeois'a, Hegeriks'a i wielu innych.

M. Strackmans,

sekretarz Belg.-Królewskiego
T-wa Archeologicznego

Bez niespodzianek

Napisał:

Eustachy Czekalski

Ilustrował: *Bogdan Nowakowski*

Życie ludzkie wtłoczyło się w kilka wzorkowych prawd. Trzeba to stwierdzić bez żalu i bez niemądrej minorderji. Można z tej racji przewracać białkami oczu i wyczyniać groźne miny. Można!... Nie wstrzyma to fali wydarzeń, nie zmieni treści naszych wysiłków, planów, dociekań. Żeby nawet głową tłuc o betonowy mur, gdy pobierze się nędza z biedą, to zawsze z tego będą dzieci. I to jakie?!... Zdrowe, liczne, mocne. Jest to oczywiste. Jak najoczywistsza staje się również druga część tego twierdzenia. Gdy zakochany magnat pragnie za wszelką cenę posiadać godnego spadkobiercę, nie pomoże mu nawet cadyk z Kocka. O lekarzach nie mówię. Zawsze nic nie wiedzą, gdy chodzi o sprawy głębsze, wewnętrzne.

Zdarzyło się właśnie, że pan Celestyn Capstrzyk - Kopystkiewicz, zamężny właściciel kilku domów, u schyłku lat swoich męskich zapragnął zrobić rodzinie figla. Chciał kłócącym się o jego fortunę siostrą i braciom uczynić niespodziankę, i to grubszą. Postanowił zdobyć się na syna, w ostateczności na córkę, byle uspokoić zwaśnioną rodzinę. Wiedział, że fakt taki pogodzi ją i doprowadzi do wspólnego frontu przeciw... niemoralnemu jego życiu. Pan Celestyn znał swoją rodzinę, jak ona jego portfel, hipoteki, nieruchomości, grunta. Warto jednak powiedzieć, jak wygląda ten starszy zamężny kawaler. Miał już lat sześćdziesiąt, ale z biedą można było, zwa-

szcza przy suto zastawionym stole, dać mu czterdzieści osiem. Wzrostu był niedużego, pulchny, łysy, wygolony, z wydatnym brzuszkiem, krótkimi nóżkami i tłustymi, grubymi łapkami. Nie odrazu doszedł do majątku. Wiele sobie skąpił, wiele ryzykował, wiele zabiegał, nim zdobył kilka kamienic...

Puścił sobie folgę w te lata, gdy ludzie zazwyczaj czynią o życiu pewne uogólnienia, refleksje. Pan Celestyn też mawiał:

— Życie — głupia przygoda. Gdy masz apetyt — nie masz co jeść! Gdy się dorobiłeś i mógłbyś wykładać sobie brzuch za trzech — to znów nie możesz znaleźć w niczem smaku.

Albo znacząco wypowiadał taki aforyzm, niby nie od siebie, niby ogólnie:

— Z kobietami też sprawa jest dziwna. Gdy człowiek mógłby się popisać czemś szczególnem, to patrzą na niego, jak na smarkacza. Gdy znów więcej ceni sobie harmonję dusz, lgną do niego niewiasty...

Bronił się przed cynizmem młodego pokolenia, które wszystkie sprawy sprowadza do pieniądza! Tak źle nie było. Kochały go kobiety i bez pieniędzy.

Filozofja jego obejmuje szerszy zakres widzenia... Gdy dorobił się, przestał zbytnio cenić grosz zdobyty. Mógł pozwolić sobie nawet na pewnego rodzaju utracusztwo. Rozumie się, że w ramach dochodów. Dla postronnych ludzi było to jednak nieposzanowanie

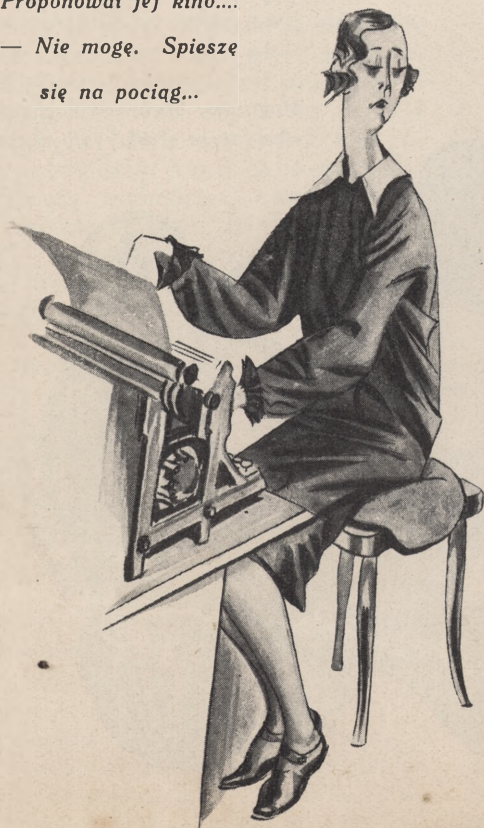
pieniędzy. Nic w tem dziwnego. Nie mieli takich dochodów, jak pan Celestyn Capstrzyk-Kopystkiewicz.

W cukierni, przy szachach, czy bilardzie, mógł się zahazardować! Po trafił i na kartę niekiedy rzucić stówkę... Gdy szedł na kolację z panną Mimi lub jej antagonistką Kłocią — stawał butelkę szampana... Złośliwi twierdzili, że czynił to przez egoizm. Lubił, żeby go cieplej traktowano... Wogóle żył sobie, jak basza z tysiącznej i jednej nocy, choć rezydował nie nad wodami Bosforu, lecz w okolicach ulicy Wspólnej i to w stołecznym mieście Warszawie...

*

Proponował jej kino...

— Nie mogę. Spieszę się na pociąg...



Tak złożyło się dziwnie, że pan Celestyn w kancelarji swojej dotychczas nie dostrzegał kancelistki Loli. Był zajęty panną Mimi, panną Kłocią, wreszcie niekiedy zdarzały się przygodne a wesołe znajomości z różnych dancin-gów czy cukierni z jazzem. Dopiero, gdy powziął plan pogodzenia, zwa-śnionej ewentualnym spadkiem, ro-dziny, spojrział jakoś uważniej na ja-snoblonde głowę maszynistki...

Skromniutko ubrana, w pantofelkach wydeptanych, w pończoszkach nicianych, nie dorównywała damom w jedwabiach, futrach, brylantach. Usta jej nie lśniły wyzywającym różem, a oczy jeżeli rzucały kiedy ogniki, to z tłumionej złości. Napewno nie znalazłby w nich ani krzty atropiny,

jak i nad łukami brwi finezji węgla czy ołówka.

Nie miała w sobie nic przymilnego, nic pociągającego ani zachęcającego. Raczej, przeciwnie, nieustannie stała na straży swej godności. Pan Celestyn wpadł na pomysł ekscentryczny. Chciał ją ułaskawić. Było to szaleństwo człowieka sześćdziesięcioletniego...

Proponował jej kino. Bez skutku. Odmówiła. Rozsądnie nawet wytłumaczyła:

— Nie mogę. Śpieszę się na pociąg..



Pan Celestyn w tym czasie znienawidził kolej. Maszynistka Lola mieszkała w Wołominie, gdyż nie mogła znaleźć w Warszawie odpowiedniego pokoju. Już chciał jej ulżyć:

— Dam pani mieszkanie w mojej kamienicy...

— Dziękuję!... Stanowczo wymówiła się.

„Zła, jak osa“ — pomyślał sobie pan Celestyn i postanowił zrezygnować z wszelkich zamiarów co do niej... Otrzymał jednak list angielski od jakiejś firmy londyńskiej. Nie mógł go odczytać on, nie potrafił odcyfrować pan Wawrzyniec, administrator, a ona, panna Lola, wzięła arkusz w różowe paluszki i przetłumaczyła bez trudu.

Była to niespodzianka. Pan Celestyn zadekretował:

— Ubrana jest ubogo, ale w główce ma dobrze...

I wtedy zaczął snuć marzenia gorące, lipcowe, jako, że właśnie wtedy

*Magazyny obciążały rachunki
p. Celestyna za szatki, jak pajęczyna...*



ów miesiąc objął Warszawę w swoje kuszące ramiona... Po wielu medytacjach postanowił podnieść pensję panie Loli. Nazywało się to, że dostaje dodatek za język angielski, ale naprawdę chodziło mu o co innego. Zastwardziały rachmistrz, pan Celestyn wykombinował sobie, że skoro maszynistka dostanie do ręki więcej gotówki, zacznie się lepiej ubierać...

Zdarzyło się w tym czasie, że raz poszła z nim do kina na śpiewający film. Była to nowość i zapewne stanowiła dla niej atrakcję. Pan Celestyn wytłumaczył sobie fakt ten łagodniej. Krępowało go jednak, jak zwykłego dorobkiewicza, że Lola jest niedostatecznie dobrze ubrana. Ludzie jego pokroju, dosłownie, wartość człowieka określają jego szatą. Nie chcąc więc na przyszłość (a o niej marzył) czuć się skrzepowanym nieodpowiednim ubiorem p. Loli, uczynił wielkie poświęcenie. Podwoił jej pensję.

Upłynęło kilka długich tygodni. W stosunkach między panem Celestynem a maszynistką nic się nie zmieniło... Dopiero gdy przyszedł październik,

pełen złotych liści i dojrzałych owoców, panna Lola dała sobie wyperswadować, iż będzie lepiej mieszkać w Warszawie...

Zamieszkała — rozumie się — w kamienicy pana Celestyna Capstrzyk-Kopyskiwicza.

*

Rozpoczęła się idylla. Kelnerzy otwierali butelki mrożonego szampana, modne magazyny obciążały rachunki pana Celestyna za szatki, jak pajęczyna. Nie były to rachunki lekkie, choć szaty prawie nic nie ważyły. Znosił to z uśmiechem sześćdziesięcioletni pan Celestyn. Nie przechodziły one możliwości majątkowych sprytnego grubasa o krótkich nogach i tłustych łapkach. Granice jego zasobów mocno nadwyreżyły się w innych okolicznościach, o których warto nadmienić, by nie sugerować dwuznaczników. Panna Lola, teraz jedwabista, wymanikiurowana, wyondulowana, u-

ważała, że jej protektor powinien trochę zmienić swe przyzwyczajenia, a nawet słownik. Wyrażał się dosyć pospolicie, zachowywał gminnie. Jak mogła, wdrażała go w dobry ton. Niezawsze osiągała rezultaty. Raz nawet pan Celestyn łagodnie zauważył:

— Nie bądź guwernantką!

Nie rozumiał też gustu Loli do muzyki. A właśnie ona lubiła koncerty symfoniczne. Chadzał z nią do Filharmoniji, bo... jeszcze nie ochłonał z pragnienia zrobienia rodzinie wesolego kawału. Zawział się teraz nawet! Zwymyślała go starsza siostra, Fila, za złe prowadzenie, skrzyczała i dodała:

— Na łajdactwa pieniądze są!... A moja dziecina nie może wyjść za mąż, bo nie ma posagu!...

— Czemuż twój mąż nie postara się o posag dla niej? — wyniośle zapytał grubas.

— Bo całe życie był uczciwy!...

— A ja byłem złodziej!? Co? Złodziej! No, powiedz! Ale złodziejskie pieniądze chcielibyście jednak brać!...

Rozsierdził się pan Celestyn i zaczerwienił. Dobrze, że nie dostał apopleksji. Tak go ta wizyta siostry zdernowowała...

W pierwszej chwili, jako akt odwetu, umyślił sobie, że ożeni się z Lolą. Później się zreflektował. O ileby urodziło się dziecko, to rzecz ta byłaby dopiero właściwa!...

Wysiłki swoje podwoił, potroił, wzmocnił wszelkiego rodzaju pigułkami, kropelkami, podniecającymi eliksirami...

Był zdrow, jak tur. Policzki lśniły mu się, jak świeżo wyczyszczony rondo... Rozkoszy zażywał, jak sam sułtan... Nie mógł się doczekać tylko

wiadomości o błogosławieństwie dla jego poświęceń...

Dodać trzeba k'woli ścisłości, że jednak było to poświęcenie, zważywszy na jego lat sześćdziesiąt.

Pewnego poranka lutowego zdrowy, wesoły, roześmiany, na samem wyjściu z rozkosznego pokoiku Loli niespodziewanie zatoczył się, usiadł na otomanie, ziewnął przeciągle i przez zęby wykrztusił:

— Duszno mi!...

W pięć minut leżał nieprzytomny, omdlały.

Zawezwano lekarza. Również starszego, tysego pana. Ostukał, opukał chorego pana Celestyna. Zmierzył gorączkę, obejrzał język. Długo i dokładnie informował się, jak spędził ostatnie tygodnie. Wreszcie po rozważnym namyśle wyrzekł:

— W naszym wieku lepiej jest unikać zawziętości!... Trzeba będzie odpocząć, i to czas dłuższy...

Pan Celestyn żałośnie tytnął kilka razy zmętniałemi oczami. Tak pięknie, idyllicznie, przyjemnie spędził kilka ostatnich miesięcy!... Zamierzał zadać pytanie lekarzowi, lecz, zdjęty własnym sentymentem, zaniechał... Trapiła go tylko myśl:

— Czyżby rzeczywiście rodzina mogła zagarnąć jego majątek?!...

Z rezygnacją machnął ręką. Dopowiedział sobie jednak:

— Póki żyję, nie powąchają ani grosza...

I jak się tu jeszcze sprzeczać, że życie ludzkie jest bez niespodzianek? Wzorkowe prawdy mocniejsze są od wszelkich maksym, choćby pochodziły od ludzi nawet tak doświadczonych, jak pan Celestyn Capstrzyk-Kopystkiewicz.



Tańce w Indjach

Pragnieniem przeciętnej Warszawianki jest pojechać do Paryża, poznać życie tej stolicy świata, gdzie zdawałoby się niema chwili na nudę, gdzie pomysłowość ludzka uczyniła wszystko, aby życie uprzyjemnić, urozmaicić,

upiększyć. A przecież przeciętna Paryżanka pomimo uciech, których jej miasto rodzinne tak obficie dostarcza, czuje przesyt i znużenie jazgotliwością codziennych wrażeń i marzy o pełnym tajemnicy i uroku życiu w od-

Taniec djabelski



ległych Indjach, pociągających wyobraźnię europejską mistycznym obrzędów, ascezą kapłanów, cudami fakirów i tą odrębnością egzotyczną, przy której życie paryskie wydaje się czerce, płytkie i nieciekawe. Dancing, kino, radjo, sport, wizyty, znów dancing... Wprawdzie tańczą i w Indjach, ale jakże różni się owo tańczenie. Tańce najmodniejsze mają żywot motyli, na to powstają, by umrzeć po roku, a tańce w Indjach setki lat już trwają, mało zmienione od czasów najdawniejszych, posiadły tradycję własną i własne kapłanki, które tubylcy



Tancerka z muzykantem

nazywają „nacni” a cudzoziemcy zwą „bajaderami”. Taniec dancingowy nikogo już nie zaciekawia, ani nie zachwyca. Można go lubić tańczyć, patrzeć nań nikt nie chce. Poznajmy taniec Indyj. Myli się, kto sądzi, że go widział na scenach i estradach. Ze wszystkich tancerek europejskich trzy tylko zgłębiły jego istotę i potrafiły godnie naśladować swoje ciemnolice siostrzyce z Benares — to Laurka, Ruth St. Denis oraz Roshanara, której tem łatwiej przyszła owa doskonałość, że w żyłach jej płynęła prawdziwa krew



*Ruth
St. Denis
w
tańcu*





Tancerki

hinduskie

hinduska, ponieważ ojciec z Bengalu był rodem.

Na czym polega trudność w odtwarzaniu tych tańców? Oto, aby umieć je odtworzyć — trzeba zrozumieć ich charakter i trzeba się ich koniecznie długo i żmudnie uczyć. W tańcach tych bowiem nie można improwizować. Istnieje pewna, ściśle określona, liczba i jakość poruszeń dla każdej części ciała. A więc mamy 19 poruszeń głowy, 4 sposoby przekręcania szyi, 6 rodzajów ruchu brwi, 8 spojrzeń oraz 50 poruszeń rękami, nie mówiąc już o wielu podrzędnych pozycjach i ruchach. Proszę się tego nauczyć a potem odpowiednio wykonać, łącząc poszczególne poruszenia w pewne kombinacje, których jest wiele i również ściśle określonych, a przy tem wszystkim zachować swobodę ruchów, aby taniec nie robił wrażenia wymuszonego lub wyczonego. Zdawałoby się, że to przechodzi siły czło-

wieka. A jednak nie! Tysiące „nacni” oddaje się swej sztuce, doprowadzając ją do artyzmu, czarującego patrzących.

Tańce hinduskie dzielą się na dwa rodzaje: tańce opisowe i religijne. Pierwsze ilustrują legendy lub pamiętne wydarzenia historyczne. Drugie noszą miano „Tandawa”, jeśli mają charakter filozoficzny lub bohaterski — albo też zwą się „Lasja”, jeśli miłość natchnęła je swoim czarem. Oba te tańce należą do kategorii noszącej nazwę trudną do wymówienia „Nrtya”, a pierwiastek mimiczny dominującą w nich odgrywa rolę, dzięki czemu zastępują sztukę dramatyczną, która w Indjach właściwie nie istnieje.

Tańce hinduskie tem są trudniejsze, że nie mają żadnych akcesoryj, żadnych efektów, bez których nie obeszłaby się najnędzniejsza scena europejska, a które znakomicie podnoszą wrażenie. Ba, nawet kostiumów specjalnych nie mają, a każda tancerka tańczy w swoim stroju



codziennym. To też jeżeli potrafi zachwycić patrzących, jej samej jest to wyłącznie zasługa.

Specjalnym rodzajem tancerek hinduskich są kapłanki, tańczące w świątyniach lub podczas procesyj ulicznych. Nazywają się „Devadasis”, co znaczy „niewolnice Boga” a po-

ta. Muzyka Zachodu rozwijała się na podstawie harmonji, tworząc coraz to nowe melodie, podczas gdy w Indjach muzyka kształtowała się na podstawie melodyj „ragas”, zmieniając tylko poszczególne tony, półtony i mikrotony, których europejska nie zna.

Najpospolitszym instrumentem jest „tabla”.

*Skomplikowane ruchy
rąk i palców w tańcu
hinduskim*



nieważ ofiara uczyniona z pięknej dziewczyny miła jest Bogu, przeto rodzice bez wahania oddają swe najładniejsze córki do świątyni.

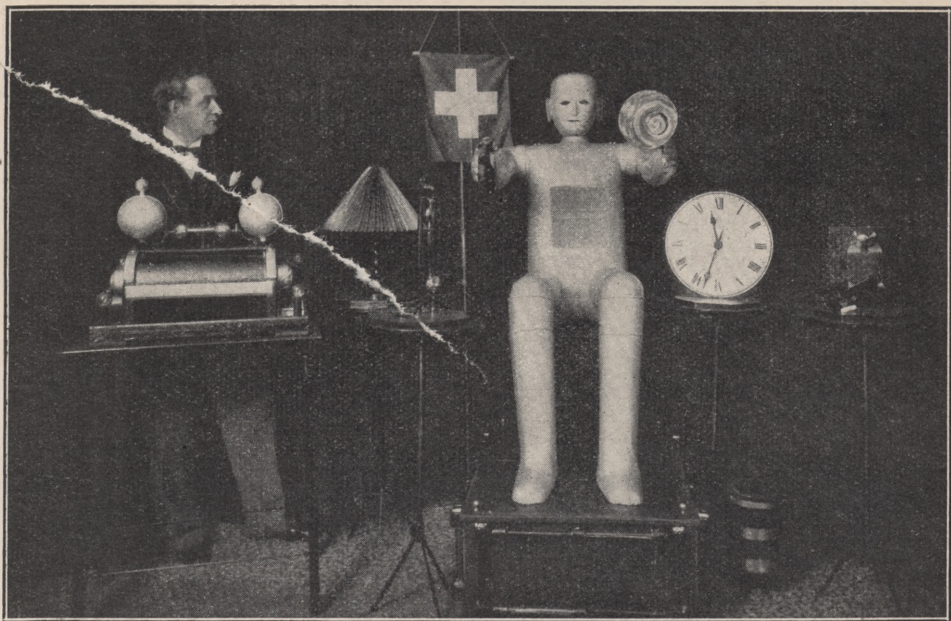
Inną jeszcze ciekawą rzeczą w Indjach są tańce djabelskie, z których zdjęcie podajemy.

A teraz słów kilka o muzyce, która towarzyszy tancerce, a która różni się tak od europejskiej, jak taniec hinduski od fox-tro-

podwójny bęben, wybijający rytm taneczny. Równie często spotyka się „sarangi”, skrzypce czterostrunne, nie licząc od 15 do 20 strun pomocniczych. Mówiąc o instrumentach, nie można pominąć talerzyków mosiężnych równie rozpowszechnionych jak „sarangi”.

Edward J. Kuryło

*Spróbuj do kawy likieru
„Kapucyńskiego”!
„Rektyfikacji Warszawskiej”!*



Sztuczny człowiek Wendlinga

Sztuczny człowiek

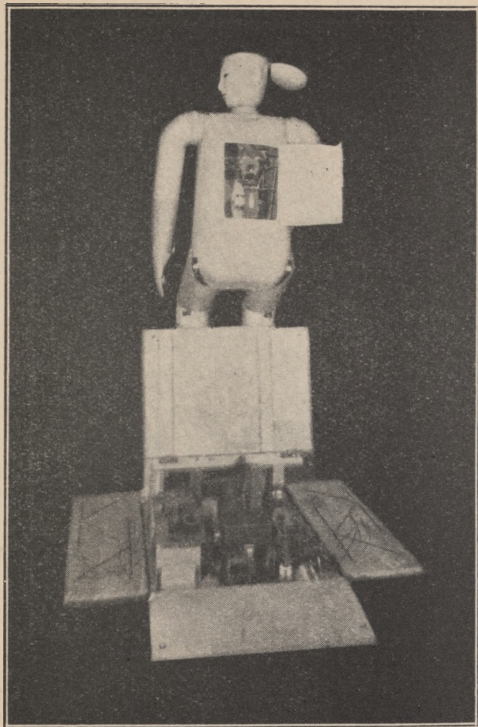
Napisał:

B. Szarlitt

„Z prochu powstałeś i w proch się przemienisz!” Te słowa biblijne w głównej, zdaje się, mierze przyczyniły się do odwiecznej mrzonki ludzkości cywilizowanej o stworzeniu „sztucznego człowieka”. Wyobrażano sobie przecież nawet, iż wystarczy ulepić z gliny postać ludzką i „ożywić” ją zapomocą jakiegoś „zaklęcia”. Stąd też zapewne wzięło się owo słynne podanie Żydów w Pradze czeskiej o „cudownym Golemie”, stworzonym przez wielkiego cadyka, człowieku z gliny, który dzięki wkładanym mu codziennie do ust kartkom z jakąś formułą kabalistyczną żył i wykonywał najróżnorodniejsze czynności. Dopiero kiedy rabin raz jednego zapomniał zmienić kartkę, „Golem” popadł w szal i począł w praskim ghecie zabijać Żydów. Podobnym fantastycznym wyobrażeniom oddawano się przez długie wieki.

Odkąd jednak mechanika coraz większe czyniła postępy, mrzonka o „sztucznym człowieku” konkretniejsze zaczęła przybierać formy. Już w pierwszej połowie XIX-go wieku w Paryżu pojawił się jakiś mechanik ze stworzonym przez siebie „androidem”, którym zelektryzował stolicę francuską. Nawet nasz wielki mistrz tonów — Chopin, mieszkający wówczas już stale nad Sekwaną, do tego stopnia zajął się tym wynalazkiem, że nie omieszczał rozpisac się o nim w liście do swych rodziców w Warszawie. Oto jak według słów nieśmiertelnego twórcy polonezów i mazurków przedstawiał się ten „sztuczny człowiek”:

„...A propos wynalazków, muszę wam opisać jeden, który już jest bardziej *de mon domaine*. Oto jakiś profesor matematyki czy mechaniki, Faber, wystawił tu bardzo ciekawy automat, mówiący nie tylko parę słów, ale całe zdania,



Tak wygląda wnętrze sztucznego człowieka

i to bardzo wyraźnie, lecz także śpiewający nawet arję Haydna i „God save the Queen”. Dyrektorowie oper, zakupiwszy dużo takich „androidów”, mogliby sobie zaoszczędzić chórzystów, wymagających tylu kosztów i kłopotów. Ciekawe, że też można do czegoś podobnego dojść z pomocą leviers, sofflets, soupapes, chainetts, tuyaux, ressorts i t. p.”

Z prawdziwie genialną intuicją Chopin z tego wynalazku wyciągnął zaraz praktyczne jego konsekwencje. Podobne miał także na myśli sławny powieściopisarz czeski, Capek, w swej głośnej fantastycznej komedji, w której mechaniczni ludzie zastępują czasami ludzkie siły robocze. Wizję swoją poeta kończy dowcipnie „rewolucją” tych sztucznych ludzi przeciw prawdziwym. Co za czasów Chopina pierwszą poniekąd było próbą zrealizowania odwiecznej mrzonki rodzaju ludzkiego, a u poety czeskiego „muzyką przyszłości”, to za

dni naszych powoli zaczyna przybierać cechy ostatecznego ziszczenia się.

Prawie równocześnie bowiem w Anglii i Szwajcarii udało się skonstruować „człowieka-maszynę”, zbliżonego już w sposób zdumiewający do prawdziwego. O wynalazku angielskim wiadomo, iż może poczęści zastąpić służbę domową, ponieważ umie wykonywać różne w jej zakres wchodzące czynności, jak otwierać i zamykać drzwi, odbierać telefon, wносить i wynosić potrawy i t. d. Najbardziej zaś zdumiewające jest, że ten „sztuczny człowiek” potrafi także dawać — najlogiczniejsze odpowiedzi na cały szereg zadawanych mu pytań.

W wyższym atoli stopniu wydoskonalony jest najnowszy wynalazek szwajcarskiego inżyniera, Eugenjusza Wendlinga, w St. Gallen. Jego „sztuczny człowiek” bowiem łączy w sobie prawie wszystkie techniczne zdobycze naszej doby. Umie on mianowicie mówić i śpiewać w różnych językach, kroczy, porusza głowę i ramionami, siada i wstaje, zaświeca i gasi lampy, zawiesza i spuszcza flagi, strzela z rewolweru, nakręca zegary, telefonuje, a wreszcie oświetla siebie samego. Co zaś już naprawdę zakrawa na „cud”, to fakt, że ten „człowiek-maszyna” umie wykonywać wszelkie udzielane mu zapomocą telegrafu bez drutu — zlecenia.

Na rycinie, przedstawiającej „sztucznego człowieka” Wendlinga w pozycji siedzącej, robi on wprost niesamowite wrażenie. Inaczej zaś ma się rzecz na drugiej rycinie, gdzie odsłanianie w nieco nieprzyzwoity sposób wszystkie swoje tajemnice. Narazie, oczywiście, o praktycznem zastosowaniu tego wynalazku mowy jeszcze być nie może, gdyż jest bardzo kosztowny. Żyjemy jednak w czasach, w których każda nowa zdobycz ducha ludzkiego tak zawrotnie szybko robi postępy, że staje się przystępna nie tylko dla ludzi bogatych. Prawdopodobnie więc i „człowiek-maszyna” Wendlinga będzie kiedyś do tego stopnia masowo produkowany, że rozpowszechni się, jak dziś radio. Pytanie tylko, czy wobec okrutnej walki o byt, jaką stacza dziś cała ludzkość cywilizowana, taka — „konkurencja” sił mechanicznych naprawdę jest pożądana?



Pracownia alchemiczna w zamku Michała Anioła w Rzymie

Romantyzm chemji

Napisał:

Inż. T. Zamoyski

Romantyzm średniowiecza skończył się od dawna. Epoka romantyzmu w poezji przemigła — nadeszły inne, nowe prądy, które podbiły serca poetów. Wierna romantyzmowi pozostała jedna tylko kochanka — nauka. Nietylko ta, która zamknięta w pracowni uczonego stara się wyrzucić światu jego tajemnice, lecz również ta, której władzą pracują tysiące fabryk.

Romantyzm na usługach wiedzy — jakże to brzmi fantastycznie! A jednak — gdyby nie romantyczne pomysły uczonych, nieprawdopodobne skoki myśli ludzkiej: jakże głęboko tkwilibyśmy dziś w „martwej prawdzie”, nie znając „prawd żywych”.

Chemja zdaje się być żywą ilustracją takiego romantyzmu. Atomy pierwiastków gonią się, chwytają i łączą w cząsteczki. Wyciąga się łańcuch związanych ze sobą atomów. Zmienia — jak w kalejdoskopie — ze-

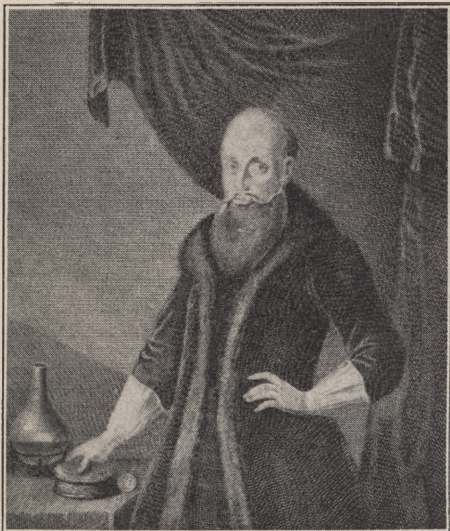
spół stworzonych połączeń, rosnąc w fantastyczną nieskończoność. Najmniejsza cząstka materji — atom, niepodzielne tabu wczorajszej chemji, ulega bombardowaniu, wydaje na świat nowe pierwiastki, które niekiedy wiedznią, umierają, jak żywe istoty...

Oto romantyzm nauki.

Wielkie hale przemysłowe. Wydarty z wnętrza ziemi węgiel praży się w retortach. Z niechęcią oddaje czarną, gęstą smołę. Kilka dalszych, złożonych operacyj chemicznych. I smoła niedawno jeszcze uważana za zbędny, przykry odpadek produkcji, przetwarzana się w groźne materiały wybuchowe, w środki lecznicze, w grające tęczowo barwniki, w wonne pachnidła — perfumy.

Oto romantyzm przemysłu.

Żadna bodaj inna z nauk ścisłych, żadna inna gałąź przemysłu nie ma w sobie tyle niekłamanego romantyzmu, co chemja.



Michał Sędziwój

Mnich średniowieczny, Albertus Magnus, czy renesansowy szlachcic polski, Michał Sędziwój, szukają kamienia filozoficznego. Ma on zamieniać w złoto wszelakie metale nie-szlachetne. Powstaje cała wielka gałąź nauki — alchemja — która postawiła sobie za zadanie przemianę istoty materji. W otoczeniu niezwykłych akcesorjów, suszonych nietoperzy, trupich czaszek, dziwacznych przyrządów — działali nietylko szarlatani, lecz również ludzie prawdziwej wiedzy i niestrudzonej pracy. Często nie dlatego, aby zdobyć bogactwo, uznanie możnych tego świata

i szlachetny kruszec. Porywała ich wielka idea przemiany ciał; i za tę ideę, romantyzm myśli twórczej, ginęli często łamani kołem, wieszani na żelaznej „szubienicy alchemików”.

Paręset lat później — wiek XVIII. Znakiem życia jest ciekawsze, niż fantastyczne przygody wielu bohaterów powieściowych. Ożeniony z jedną z najpiękniejszych kobiet stulecia, pracuje z nią razem i dochodzi do odkrycia, burzącego podstawy ówczesnej chemji. Rozwiązuje zagadkę spalania ciał. Wyjaśnia ją w sposób niewątpliwy — a dla nas, ludzi dzisiejszych, oczywisty. Lecz jakże nadzwyczajny, cudowny, niespodziewany dla współczesnych Lavoisier'a. Aby zrozumieć prawdziwą niezwykłość pomysłu, trzeba się wczuć w utrwalone, nieburzone — zdawałoby się — pojęcia ówczesne. Sądzono bowiem, że każde ciało palne składa się z 2-ch części: popiołu, jaki pozostaje po spaleniu, i nieznanego bliżej składnika, przezwane go flogistonem. Ogień odbierał miał rzekomo ów hipotetyczny flogiston, pozostawiając popiół. Lavoisier staje się pionierem śmiałej myśli, o wręcz przeciwnym kierunku: podczas palenia, ciało palone nic nie oddaje z siebie. Przeciwnie, ono właśnie odbiera powietrzu jego część składową — tlen, wiążąc się z nim w nowy związek. Współcześni z niedowierzaniem patrzą na nowe wyjaśnienia starego jak świat zjawiska, lecz myśl rewolucyjna zwycięża.

Rewolucja w nauce zbiega się z rewolucją polityczną. Przychodzi zburzenie Bastylji,

*Pracownia
Antoniego
Lavoisier;
Pani Lavoisier
prowadzi
notatki*





*U prof.
Olszewskiego
w
Krokwie*

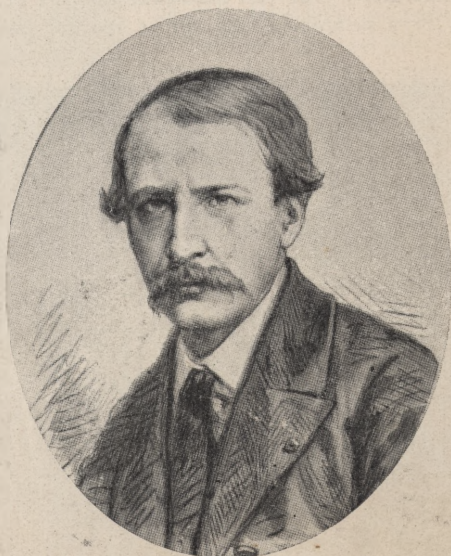
rzady Robespierre'a. Ale czerwona czapka frygijska nie jest łaskawa dla rewolucjonistów nauki. „La patrie n'a pas besoin de savants”. Głowa znakomitego uczonego spada pod ostrym nożem gilotyny 22-go floreala, drugiego roku rewolucyjnej Rzeczypospolitej. Lecz idea nie ginie z jej twórcą. Rozkwita i staje się „żywą prawdą”.

Początki XIX stulecia. Romantyzm w literaturze osiąga wysoki lot. Reakcja przeciw klasycyzmowi przebiega gwałtownie. I wówczas właśnie klasyczny podział chemji na martwą i ożywioną runie pod powiewem nowej romantycznej idei. Ciało, jakie występuje w organizmie żywym stworzyć w sposób sztuczny, syntetyczny: oto hasło chemicznych romantyków. Rozwiązać zagadkę przyrody, sięgnąć po nieznane, odebrać tajemniczą siłę żywotną, targnąć ją za trzewia, wyrwać naturze. Niecodzienną pracę podjął niemiecki uczone, Fryderyk Wöhler. W zwykłej szklanej probówce otrzymał przy pomocy prostych operacji chemicznych ciało, występujące dotychczas w organizmach zwierzęcych — mocznik.

Misternie zbudowany gmach pojęć chemicznych znów drży w posadach. Pod znakiem zapytania „siła witalna”, niezbędna rzekomo do utworzenia połączeń, jakie w żywych organizmach występować zwykły. Idea niecodzienności, romantyczna tęsknota do poznania rzeczy nowych — zwycięża. Genjalne syntezy ciał organicznych wykonywa w 30

lat później znakomity paryżanin, chemik i filozof, ateista i kapłan przyrody, Marceli Berthelot. Kładzie podwaliny pod budowę nowego wielkiego gmachu syntezy organicznej. Zmusza oporne pierwiastki do łączenia się w związki, dochodzi do ciał o złożonej zawiłej strukturze, spaja je między sobą, kładzie podwaliny syntezy organicznej, która dziś pozwala sztucznie wytwarzać barwniki, leki, pachnidła.

Osiemdziesiąte lata ubiegłego stulecia. Cia-



Marceli Berthelot



Dymitr Mendelejew

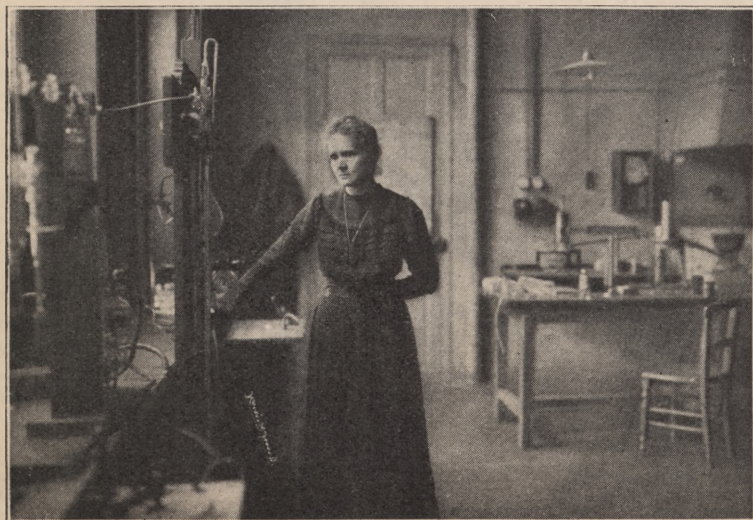
sna pracownia Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Dwaj niepoprawni romantycy polscy — Wróblewski i Karol Olszewski — bez pieniędzy, prawie bez przyrządów, niemal bez niezbędnych pomocy chcą osiągnąć cel niezwykle: skroplić powietrze.

Borykając się z trudnościami materialnymi i skąpem wyposażeniem pracowni, własnoręcznie konstruując szklane i metalowe przyrządy, Olszewski osiąga cel — Polak był pierwszym na świecie człowiekiem, który skroplił powietrze. Przekracza nawet niską temperaturę, jaka jest niezbędna do tego celu. Przy skraplaniu helu (który znajduje się

w nieznacznych ilościach w powietrzu) otrzymuje temperaturę 271° niżej zera. A wszystko w warunkach, jakie uważaliby dziś za niemożliwe do pracy student pierwszego roku chemji. Lecz romantyk Olszewski zmierzył siły na zamiary i zwyciężył!

Z pod Wawelu przenieśmy się teraz nad Nową. W mrocznym, zimnym Petersburgu pracuje Dymitr Mendelejew. Układa wszystkie znane dotychczas pierwiastki chemiczne w rzędach pionowych i poziomych i wysuwa nowe śmiałe twierdzenie. Oto właściwości pierwiastków, zawartych w rzędach poziomych, różnią się od siebie tem znacznie, im dalej leżą od siebie same pierwiastki, uszeregowane przez Mendelejewa. Natomiast zawarte w rzędach pionowych są bardzo do siebie podobne. Mendelejew wyszukał stopnie pokrewieństwa, pozeńił pierwiastki między sobą, dał im dzieci i wychowanków, stworzył wielką rodzinę chemiczną. Co więcej — przewidział nawet dalsze potomstwo, odgadł zaginionych krewnych. Bo odchylenia od tej reguły podobieństw i różnic, jakie można było wówczas zauważyć, przypisał błędom ludzkim lub nieznanym niektórym pierwiastków.

Znów przejaw naukowego romantyzmu. Nic to, że zespół znanych dotychczas faktów jest za szczupły, aby potwierdzić ideę. Nic, że „mędrcza szkiełko i oko” zdają się zaprzeczać pomysłom Mendelejewa. Wytrwale stoi on na zajętem stanowisku. Zarzutom przeciwników nowej teorii, którzy się opierają

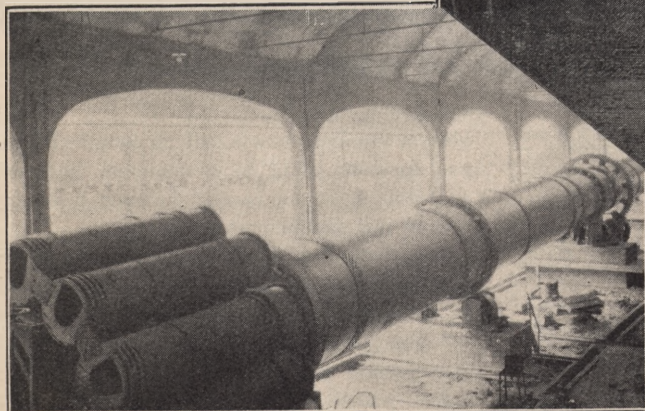


*Marja
Skłodowska-
Curie
w swej
pracowni*

na dotychczasowych zjawiskach, przeciwstawia „czucie i wiarę”. Dziś nie znamy jeszcze pierwiastków, które stanąć muszą w szeregu, lecz jutro poznamy je niewątpliwie — powiada. I „żywa prawda” wkrótce zwycięża. Nowoodkryte pierwiastki potwierdzają z niedowierzaniem początkowo przyjmowaną teorię.

Obraz ostatni. Młoda Polka, panna Marja Skłodowska, córka matematyka warszawskiego, wychodzi zamaż za

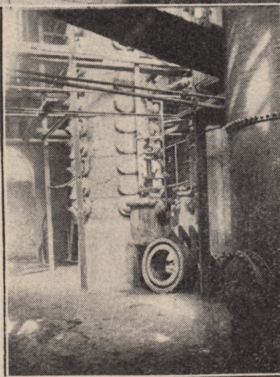
*Zamiast dawnych pracowni
alchemicznych mamy dziś olbrzymie
fabryki i zakłady przemysłowe*



Piec obrotowy w Grodźcu

profesora fizyki w Sorbonie paryskiej — Piotra Curie. Wspólne badania doprowadzają do wyodrębnienia z tonny rudy uranowej zaledwie kilku tysięcznych części grama nowego ciała — radu, o cudownej własności wydzielania promieni. Przenikają one ciała nieprzezroczyste, mają szczególne właściwości elektryczne, niezwykle zastosowanie lecznicze.

I teraz zaczyna się romans chemji współczesnej. Promienie, wysyłane przez rad i inne — dzięki tej właściwości



*Fragment gazowni
warszawskiej*

Elektrownia w Chorzowie

przezwane promieniotwórczymi — pierwiastki pochodzą z samorzutnego rozkładu atomów. Najmniejsza, niepodzielna cząstka materji — atom — rozpada się. Nabiera życia. Wydaje na świat nowy pierwiastek. Lecz nie na tem koniec: atom nowego pierwiastka znów wysyła w świat promienie, zamieniając się w inny. I trwa ten proces zgonu starych i narodzin młodych, symfonia życia i śmierci, dopóki nie utworzy się ciało o atomach w stałej równowadze.

Przemiana materji jest już faktem. Ziszczają się marzenia alchemików. Coprawda — niema mowy o przemianie ołowiu w złoto, lecz długi szereg pierwiastków promieniotwórczych stopniowo umiera,

aby dawać z siebie życie innym.

Martwy atom zaciekawia, niczem żywy człowiek. Rodzi się, żyje i umiera. Może czuje... Chcemy rozwiąć zagadkę jego wewnętrznej budowy. Pasjonuje już nie tylko właściwość pierwiastka, lecz również — a może nadewszystko — jego intymne, domowe życie. Snuje się przedza romantycznych pomysłów. W szrankach wiedzy ścierają się coraz śmielsze poglądy.

Przepasani wstęgą nauki, uzbrojeni w misterne przyrządy chemiczne i fizyczne — uczeni całego świata szturmują do twierdzy żywej prawdy. Lecz romantyzm dnia dzisiejszego zlikwidował pomocnicze akcesoria średniowiecza. Nie posługuje się już tajem-



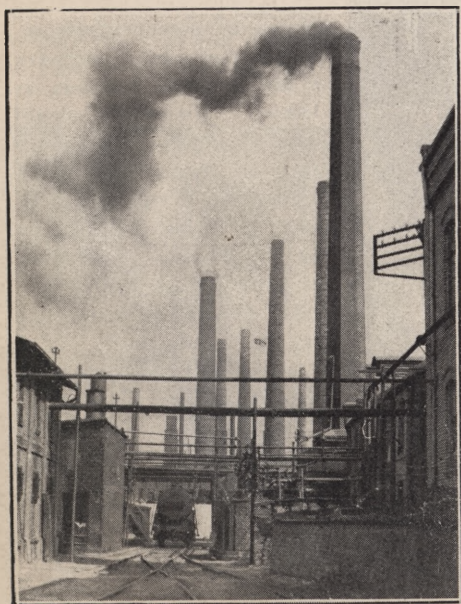
Tok wygląda dziś wielka fabryka chemiczna

niczym mrokiem — wyszedł na światło dzienne. Zamiast ksiąg z wyciśniętym kopytem diabłem — używa tomów, których treść dostępna jest nie tylko wtajemniczonym.

Ale duch ludzki, niedościgniony w swych polotach, został ten sam. Składa ludzkości w ręce nieprzebrane skarby, otwiera nowe sezamy, pozwala czerpać bogactwa ze źródeł doniedawna ukrytych.

Bo romantyzm nauki, romantyzm chemji nie jest samolubny ani egoistyczny. Niezwykłe pomysły stają się ciałem, powoli nabierają kształtów realnych, przestają być dziwaczne, niezrozumiałe, potępiane. Przechodzą w ręce innych entuzjastów — przemysłu. Oni zmieniają szkło pracowni naukowych na metal potężnych maszyn i aparatów. Wprzegają do pracy setki i tysiące koni mechanicznych, zamiast gramów wytwarzają tony produktów i oddają je nam wszystkim.

Nieprawdą, kłamstwem wierutnem jest mniemanie, że romantyzm zginął oddawna. Żyje w pracowniach twórczych, kieruje tętnem potężnych zespołów fabrycznych, podsuwa wielkie idee. A jeśli skromny uczony zdoła uchwycić cel swoich naukowych marzeń — wówczas rozkwita najcudniejszy uśmiech romantyzmu wiedzy — czarowny kwiat „żywej prawdy”.



Fragment fabryki chemicznej

GŁÓWNA WYGRANA



Napisała:
Stella Olgierd

Ilustracje J. Łosiówny

Pan Błażej Stojanowski już snąc od samego urodzenia (a może nawet jeszcze i przedtem?) skazany był na to, by stać się w życiu t. zw. „ofiara”. Już samo imię Błażej, jakie sobie maled, syn maszynisty kolejowego, przyniósł w dzień swego zjawienia się w małym acz dostatnim mieszkaniu swych rodziców dn. 3 lutego, miało w sobie coś żałosnego, coś poprostu politowania godnego. A cóż dopiero mówić o nim samym?

Ukończył z trudem wielkim zaledwie 5 klas szkoły handlowej (bowiem ambicją rodziców było, mimo objawianych przekonań, skłaniających się mocno „na lewo” wy kierować go na „pana”!), po długich zabiegach udało mu się dostać miejsce praktykanta w biurze technicznym.

Młody Błażek z wielkim zapałem wziął się do pracy. Kopjował listy, adresował koperty, naklejał marki, ekspedjował korespondencję, słowem wtajemniczał się od samego początku w arkana pracy biurowej. Jego wątła figurka, zakończona małą spiczastą główką, osadzoną na długiej szyi, pochylała się całymi dniami nad powierzoną mu pracą. Po godzinach biuro-

wych, gdy szef, główny buchalter, jego pomocnik, korespondent i maszynistki wychodzili roześmiani, radzi, że znów minął jeden dzień ciężkiej pracy, Błażek zostawał i w skrytości wprawiał się w pisanie na maszynie. Błada twarz dostawała wypieków, małe, jakby ciągle załzawione oczki, błyszczały. Błażek marzył... Marzył, że gdy miną lata praktyki, zostanie może pomocnikiem buchaltera, a może... może nawet... tu niekiedy sam się przerażał śmiałości swych marzeń... i buchalterem!...

Tymczasem jednak lata mijały, a w stanowisku społecznym Błażek nie zachodziły żadne zmiany. Miał lat dziewiętnaście, gdy umarł mu ojciec; w trzy lata później przeniosła się do lepszego świata i matka, a pan Błażek był ciągle popychadłem w biurach, w których pracował, był tym, którym się każdy chętnie wyręczał, gdyż wiedział, że pan Błażek nigdy niczego nie odmówi; tym, od którego niejeden z współpracowników pożyczował pieniędzy, zgóry nie mając zamiaru ich oddać, wyzyskując po temu ambicję pana Błażka i zwracając się do niego poufale: — „Słuchajcie, kolego, nie pożyczylibyście mi kilku „złociszów”? Za parę dni, gdy już będą dawali akonta, oddam wam”. — I biedny „kolega”, którego tamten



Słuchajcie, kolego, nie pożyczylibyście kilku złociszów?

niejednokrotnie nie poznawał na ulicy, szczególnie, gdy szedł w towarzystwie kobiety, pożyczając z miłym uśmiechem ciężko zapracowany grosz, odłożony z trudem na „czarną godzinę”. Ot „ofiara”! Właściwie nawet nie na „czarną godzinę” odkładał groszaki i złote pan Błażej. Nie! W duszy tego człowieka, jakby dalszy ciąg marzeń rodzicielskich, leżało się marzenie zostania „burżujem”. Leżąc na wąskim żelaznym łóżku, w pokoiku, który swym ubóstwem raczej celę więzienną przypominał, a był „kawalerskim pokojem”, odnajmowanym na czwartaku, snuł pan Błażej najfantastyczniejsze marzenia.

„...Byle pierwszy tysiąc zebrać, to potem już pieniądź sam będzie robił na siebie”, powtarzał sobie maksymy, zastyszczane od któregoś z szefów.

Tymczasem jednak z zebraniem nawet pierwszej setki szło bardzo ciężko. Co uskładał sobie jakieś kilkadziesiąt złotych, to lichy nadało któregoś z „kolegów”, którym pan Błażej nie umiał odmówić — i składanie zaczynało się znów od początku, bo prawie nigdy pożyczający nie zwracał mu pieniędzy, zaś pan Błażej był zbyt delikatny, by się o nie upominać. Aż pewnego razu... Pan Błażej marzył o posiadaniu obuwia, nabytego choć raz w życiu u pierwszorzędnego szewca. Zdawało mu się, że jego płaskie, duże nogi nabrałyby kształtów, że nawet ten chód jego niezgrabny, kołyszący, jak u kaczki, zmieniłby się pod wpływem dobrze zrobionych trzewików. Cóż, kiedy trzewiki takie, które obejrzał o tyle dokładnie, o ile pozwalała mu na to szyba wystawowa, kosztowały 55 złotych!

Właśnie szła wiosna, panie ukazywały ślicznie obute nóżki, mężczyźni mieli też ambicje w tym kierunku. Miał pan Błażej uskładanych wprawdzie 78 złotych, ale właśnie dlatego, że tak niewiele już do okragłej setki brakowało, żał mu było zmniejszać tę sumę aż o 55 złotych.

A bućki tak go wabiły ku sobie! Śmiały się ku niemu zgrabnymi „no-



Zgrzytnął zębami i zacisnął złowrogo pięści.

skami” jakby przeginały w jego oczach, ukazując się tam, za szybą wystawową. Aby nie ulec pokusie, przechodził na drugą stronę ulicy. Pewnego dnia w biurze podszedł do niego buchalter Pietruszka, częściej od innych pożyczający „złote” od pana Błażeja.

— Słuchajcie „kolego” — rzekł, biorąc go poufale pod rękę — możebyście mi pożyczyli jeszcze 60 złotych? Wiem, że jestem wam coś tam winien... — 80 złotych pomyślał pan Błażej... pomyślał, ale nie rzekł ani słowa — i w najbliższych dniach oddam wam to razem wszystko, ale muszę mieć 60 złotych. Żona mi ma rodzić dzisiaj — dokończył, nachylając się do ucha pana Błażeja.

Ten poczerwieniał cały. Jako kawaler, żyjący bardzo skromnie, nie stykał się nigdy z rozpoczęciem istnienia na ziemi, fakt przeto zakomunikowany mu przez buchaltera Pietruszkę wydał mu się tak wielkiej wagi, że bez słowa wyjął z ukrytego na piersiach woreczka żadaną sumę i wręczył buchalterowi. Jakkolwiek przekonany, że spełnił dobry uczynek, nie mogąc jednakże opędzić się pewnemu żalowi,

wałęsał się długo, wieczór, nieszczęśliwy pan Błażej Stojanowski po ulicach, nie mając ochoty wrócić do domu. Myślał o ciężkich chwilach, jakie może przeżywa właśnie kolega Pietruszka w obawie o życie żony i oto naraz, jakby zjawą, woła jego wywołana, mignęła mu w dorożce sylwetka buchaltera. Oczom swoim nie wierząc, zawrócił niemal biegiem pan Błażej, a oto i dorożka właśnie się zatrzymała, jakby chcąc mu ułatwić przekonanie się o prawdzie. Z dorożki tej pomagał wysiąść pan Pietruszka eleganckiej damie...

W pierwszej chwili pan Błażej Stojanowski sądził, że może to żona buchaltera, którą tenże przywiozł do lecznicy, bliższe jednak obejrzenie damy zadało kłam temu przypuszczeniu. W spokojnym zwykłe panu Błażemu coś nieznanego mu poczęło się budzić. Zgrzytnął zębami, zacisnął złowrogo pięści i krokiem ostrożnym sunął za wchodzącą parą w bramę, potem przez ciemne podwórko, na pierwsze piętro, aż do drzwi, na których widniał napis „gabinety”. Na drugi dzień pan Błażej, nie dając nic poznać po sobie, podszedł ku buchalterowi:

— No i cóż, syn czy córka? — spytał go, kładąc mu rękę na ramieniu.

Buchalter zająknął się i spojrzał na pytającego złemi oczami, usuwając się równocześnie z pod dotknięcia jego ręki.

— Pieniądze oddam panu w najbliższych dniach.

— To chwała Bogu, — ucieszył się pan Błażej, który pożałował już swej energii i pragnął wycofać się z honorem. Historja ta miała jednakże dla niego tę korzyść, że już nigdy nikomu nie chciał pożyczyć ani grosza. W tym czasie jakoś zaznajomił się bliżej z sąsiadem swym z przeciwka, woźnym dużego domu bankowego. Woźny ten, zarabiający bardzo dobrze wskutek otrzymywanych napiwków, miał słabość do loterii. Nie „szkodziło” to jego zdrowiu tak, jak np. słabość do wódki lub do kobiet, nie mniej jednak sporo go kosztowało. Słabości tej

uległ po pewnym przeciągu czasu i pan Błażej Stojanowski.

I zamiast marzyć teraz o uskładaniu tysiąca, marzył o głównej wygranej, o zbytku, jakimby się otoczył, o trzewikach kupowanych u najlepszych szewców i... o pannie Zosi...

Lecz tu marzenie jego padało w proch u stóp ukochanej i pokornie je całowało. Bo pan Błażej Stojanowski, jak niemal zresztą każdy śmiertelnik, co przeznaczenia uniknąć nie może, kochał... Kochał miłością pierwszą, niewinną i czystą, miłością cichą a gorącą, do jakiej zdolne było jego dwudziestosześcioletnie serce. Przedmiot jego miłości, owa panna Zosia, mieszkała na tym samym korytarzu, w takim samym pokoiku, jaki zajmował pan Błażej Stojanowski. Była tak jak i on, zupełnie sama, wychodziła rano do pracowni, skąd wracała wieczorem i nieraz się zdarzyło, że spotkawszy się na schodach, rozma-



Oboje
nakarmili
psinę
i odtąd
zaczęła się
ich
znajomość

wiali. A zbliżył ich do siebie, jak zwykle, przypadek. Pewnego wieczoru, panna Zosia usłyszała pod drzwiami skomlenie, wyrzała na korytarz i zobaczyła szczeniaczka, trzęsącego się z zimna. Było już późno. Panna Zosia nie miała w domu nic, czemby mogła psinę nakarmić. Z pod drzwi pana Błażeja dobywało się światło. Nie wiele myśląc więc, zastukała do niego, zapytując, czy przypadkiem nie ma w domu mleka. Miał — oboje nakarmili więc psinę i odąd zaczęła się ich znajomość, która u pana Błażeja przerodziła się w miłość.

Marzenia, w razie wygranej, obejmowały i „Lalusia” (tak nazwali pieska), który wdzięczny obojgu za zajęcie się nim (bo i pan Błażej w jego żywieniu brał duży udział) przywiał się do nich bardzo...

Pan Błażej, bojąc się przegrać zbyt wiele odrazu, kupował ostrożnie, za namową sąsiada-woźnego, zawsze tylko ćwiartkę losu. Po kilkunastu bezowocnych kuszeniach fortuny, które jednakże nie zniechęciły pana Błażeja, los się nad nim zlitował o tyle, że na zachęcenie go snąć do grubszego hazardu, pozwolił mu wygrać stawkę. Pan Błażej był w siódmym niebie: kraina bogactwa, w jego marzeniach, leżała przed nim otworem. I... za namową, tym razem panny Zosi, kupił cały los.

Ta karta zadrukowanego papieru przedstawiała dla niego obecnie wartość majątku — to też obawiał się nosić ją przy sobie, aby jej nie zgubić. Zostawić w domu? A może kto ukradnie? Wpadł przeto na oryginalny pomysł: przyniósł z biura gumy arabskiej i nakleił los na drzwiach od strony pokoju. Kładł się na łóżku i wpatrywał się weń z rozrzewnieniem. Był tak pewny wygranej, że zaraz nazajutrz wieczorem, ubrawszy się odświętnie, oświadczył się pannie Zosi i mimo, że nie czuła do niego szczególnego pociągu, lecz tylko zwykłą sympatię, oszołomiona horoskopami na przyszłość, przyjęła go bez wahania.

Dni płynęły. Pan Błażej zapraszał pannę Zosię do swego pokoiku i tu wpatrzeni oboje w cudotwórczą kartkę, marzyli o przyszłości, w której i dla Lalusia było miejsce.

Ciągnięcie miało się odbyć nazajutrz. Im chwila ta była bliższa, tem pan Błażej stawał się smutniejszy. Otrząsnął się z marzeń, w jakich żył od paru miesięcy i spostrzegł, że popełnił głupstwo, obiecawszy kupić trzy pokoje z kuchnią, do których się po ślubie z panną Zosią przeniosą. Ślub miał się odbyć zaraz po Wielkiejnocy — zapowiedzi już szły, a o kupieniu mieszkania ani marzyć nie mógł. I te całe oświadczyzny o pannę Zosię odbyły się o wiele przedwcześnie.

Co teraz robi? Jak się wytłumaczy? Jak mógł tak się zaślepić, by nie tylko samemu marzenie za rzeczywistość brać, lecz jeszcze i ukochaną w to wciągnąć! Musi zaraz jutro, po powrocie do domu, pójść do panny Zosi i, padłszy przed nią na kolana, prosić o przebaczenie za to swoje szaleństwo. To z miłości do niej tak oszalał pan Błażej — miał przeto nadzieję, że może uda mu się wybłagać darowanie winy.

Nazajutrz w smutnym nastroju ducha opuścił pokój. Żałosnym wzrokiem spojrzał na przyklepiony do drzwi los, sprawcę tyłu zawodów.

Jakoś na godzinę przed ukończeniem zajęć w biurze, pana Błażeja wezwano do telefonu.

— Winszuję panu z całego serca!

— Co? kto mówi?

— To ja, woźny z Domu Bankowego, sąsiad pański z przeciwka.

— Czego mi pan winszuje?

— Jakto? To pan nic nie wie? Nie czytał pan popołudniowego wydania pism?

— Nie, nie czytałem. O czym mam wiedzieć?

— Na pański los, zakupiony u nas, padła główna wygrana. Chciałem być pierwszym winszującym panu z tej okazji...

Ale pan Błażej już nie dosłyszał

końca rozmowy, bo zemdlął z wzruszenia.

Gdy koledzy biurowi dowiedzieli się o boskim uśmiechu fortuny i to skierowanym ku takiemu Błażejowi Stojanowskiemu, zazdrość i zawiść ich przejawiała się w ogromnie uprzejmem składaniu mu życzeń z tej okazji. Otrzymawszy na jutro zwolnienie z biura, by mógł podnieść wygraną, pan Błażej, jak szalony, pobiegł do domu. Po drodze zakupił wszystkie gazety z uwidoczniwym numerem, na który padła główna wygrana — jego numerem. Przed drzwiami pokoiku, na których, przylepiony, pysznił się los szczęśliwy, odprawił jakiś dziki taniec zwycięstwa i tak doczekał powrotu panny Zosi.

Nawet nie spostrzegli się, kiedy na projektach, opartych na tej cudownej karteczce, zbiegł im czas do rana. I teraz dopiero pan Błażej zatroszczył się, co będzie z losem. Siedział sobie na drzwiach przyklejony tak mocno,

że ani marzyć nie można było o odjeździe go stamtąd. Ślinił go pan Błażej, wodą delikatnie maczał — na nic. Brzęgi zadzierały się, ale los tkwił mocno na miejscu. Rozpacz zaczynała go ogarniać: co robić? Panna Zosia stała za nim bezradna z załamaniem dłońmi. Czyżby wszystko runąć miało w gruzy? Cudne plany miałyby rozdrzeć się przez ten uparty świstek?... Naraz pan Błażej podskoczył w górę, klasnął w dłonie i wydał jakiś wojenny okrzyk Mohikanina.

— Mam! Jest!

Panna Zosia spojrzała z trwogą na narzeczonego. Ale wyglądał zupełnie normalnie.

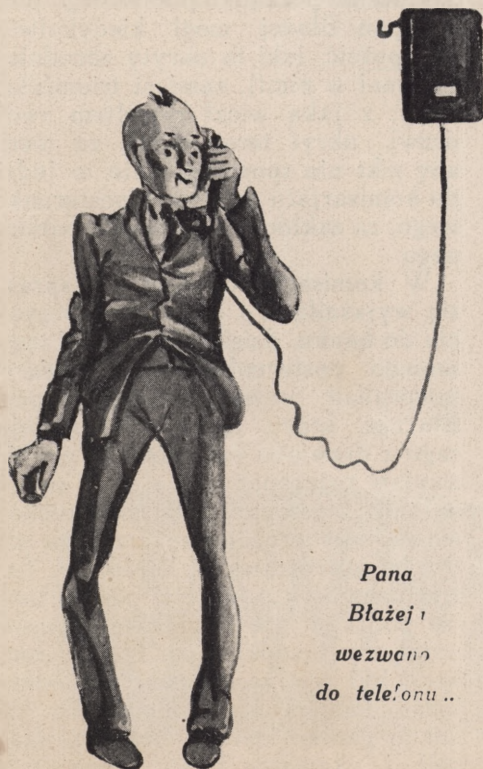
— Zosienko! (Jak to pieniądze dodają ludziom pewności! Pan Błażej po raz pierwszy w tej chwili mówił do narzeczonej „ty“.)

— Do zajęcia dziś nie pójdziesz, zato usiądziesz sobie z Lalusiem w pokoju tutaj i będziesz czekała na mnie, bo ja... patrz!

I, nim zdumiona panna Zosia zdobyła się na odpowiedź, pan Błażej wyjął drzwi z zawiasów i niby z zwykłą kartką papieru, zbiegł z niemi po schodach.

Tu, trzymając ciągle w górze przed sobą, jakby transparent na jakimś pochodzie, owe drzwi, nie zważając na zdziwienie przechodniów, wsiadł z niemi do dorożki i rzucił adres domu bankowego. Gdy jednak chciał z niemi wejść do wnętrza, odźwierny w żaden sposób puścić go nie chciał. Pan Błażej zaczynał tracić cierpliwość.

Dorożkarz, który z zaciekawieniem spoglądał na pasażera, wiozącego drzwi... pod adresem banku, nie odjeżdżał, czekając, co z tego wyniknie. Tymczasem przechodnie zaczęli gapić się bezmyślnie na miotającego się coraz bardziej pana Błażeja i na broniącego mu dostępu odźwiernego. Niezależnie od szczęśliwego losu cisnęły się już niemal łzy do oczu. Jakto? O krok od fortuny... szczęścia... ta marna kreatura, ten odźwierny... miałby mu... Próbował i groźby i przekupstwa, nic nie pomagało.



Pana
Błażej,
wezwan
do telefonu ..

A tłum gapiów, których nie brak nigdy w wielkiem mieście, rósł z minuty na minutę. Zjawił się nareszcie, zwabiony zbiegowiskiem, posterunkowy.

W tej chwili zbawcza, zdawało się, myśl przyszła do głowy panu Błażejowi. Dzierżąc mocno, w obydwóch dłoniach drzwi, powód całego zajścia, stanowczym głosem rozkazał odzwier-nemu:

— Proszę tu zawołać woźnego!

— A jakże, cóż to pan myśli, że nie mam nic lepszego do roboty, jak tylko biegać za woźnym?

W tłumie rozległy się śmiechy wyrostków, docinki gapiów. Posterunkowy w tej chwili dotarł już do pana Błażeja.

— Co to ma znaczyć? Co pan tu robi?

W oczach nieszczęśnika wyrosła naraź nowa przeszkoda w postaci posterunkowego, który... może odbierze czarodziejskie drzwi... może zamknie go do więzienia za przyklepienie biletu loterii państwowej na drzwiach, może... może... najrozmaitsze możliwości przebiegały mu przez myśl, jak błyskawice. Doprowadzony do ostateczności, ten zawsze potulny i nieśmiały pan Błażej poczuł naraz w sobie siły Dawida, walczącego z Goljatem. Jak nie ryknie, ile tchu w piersiach:

— A panu co do tego! Idź pan pilnować złodziei, a nie mnie!

Aż się posterunkowy usunął przezornie, myśląc, że ma do czynienia z furjatem.

Ale ten wysiłek energii kosztował pana Błażeja tak wiele, że zaraz w następnym momencie sam się przeraził swego czynu. Zrozpaczony, nie wiedząc sam, co robi, przejęty jedną myślą dostania się za wszelką cenę do „Domu Bankowego”, upadł na kolana, trzymając ciągle drzwi przed sobą:

— Panie naczelniku, niech mnie pan każe wpuścić do banku!

Tłum gapiów rósł coraz większy, tak że zaczął już tamować ruch kołowy.

...trzymając ciągle
w górze przed
sobą — owe drzwi...



Posterunkowy znalazł nagle sposób rozpędzenia tłumu.

— Aresztuję pana za zakłócenie porządku publicznego. Proszę za mną do komisariatu!

I wsiedli do dorożki, która przywiozła pana Błażeja; tylko że sprawca zakłócenia porządku publicznego (czyby pan Błażej mógł kiedykolwiek przypuścić, jaki to ukryty zbrodniarz drzemał w nim!), zamiast triumfalnej miny, z jaką wioził przedtem swoje drzwi, ukrył teraz głowę za niemi, aby nikt nie spostrzegł, kto to jedzie do komisariatu w asyście posterunkowego, za zakłócenie porządku publicznego.

W komisarjacie nareszcie sprawa się wyjaśniła. Po ponownem przybyciu do banku, dzięki interwencji tegoż samego posterunkowego, odzwiertny sprowadził woźnego, sąsiada pana Błażeja, który, ujrawszy go stojącego z drzwiami od własnego pokoju, zamiast roześmiać się — nisko mu się uklonił, następnie zaś sam pomógł wnieść owe drogiecenne drzwi na piętro, by przedstawić je kasjerowi. Ten, wysłuchawszy opowieści pana Błażeja, podrapał się za uchem, poczem wziął się do odklejania biletu. Już... już... był w trzech czwartych odklejony; kasjer, zadowolony, że tak mu to gładko idzie — szarpnął mocniej i... kawałek biletu pozostał na

drzwiach. Pan Błażej zbladł, jak trup...

Całe przecież jego życie zawisło od tego kawałka papieru... W jednej sekundzie przewinęło mu się w myślach i trzypokojowe mieszkanie, i nowe meble, i Laluś wierny, witający go radosnem szczeniem na progu własnego „domu”, w głębi którego czekały pana Błażeja białe ramiona jego ukochanej żony, Zosi... A oto wszystko wali się w gruzy... i dalsze jego życie, które mogło ułożyć się tak cudownie, popłynię rozerwane na strzępy, jak ten oto los, na który przecież padła główna wygrana!...

Pan Błażej wydał z gardła jakiś dźwięk nieartykułowany, podniósł dłoń ku głowie i nagłym ruchem, znamionującym najwyższą rozpacz, przesunął ją po rzadkich włosach, na których w tej chwili błyszczały kropelki potu. I z tak zjeżonymi włosami wybiegł z banku, zostawiając nieszczęsnego kasjerowi. Ile tchu w piersiach pę-

dził do panny Zosi (teraz znów stracił chwilową pewność siebie!), by u niej szukać pocieszenia, by jej serce zadało kłam jego najczarniejszym przypuszczeniom.

A tymczasem panna Zosia, która w myślach, w czasie nieobecności narzeczonego, widziała się już w przyszłości conajmniej właścicielką sześciopiętrowej kamienicy, dowiedziawszy się o przebiegu sprawy w banku, najpierw aż zaniemówiła z oburzenia, a w następnej chwili, opuszczając strzeżony przez siebie pokój bez drzwi, rzuciła przez ramię, spoglądając na pana Błażeja z druzgocącą pogardą:

— Taki „fajtłapa” to nie umie nawet wykorzystać i takiego szczęścia, co mu samo w ręce lezie!

I, efektownym ruchem rzuciwszy nieszczęśnikowi pod nogi zdjęty z palca pierścionek, otrząsnęła dumnie pył z obuwia i wyszła, nie mogąc sobie tylko pozwolić na taką satysfakcję, jaką byłoby trzaśnięcie drzwiami...



Chester Conklin

Napisał:

Jerzy Borycki

Chester Conklin — szary człowieczek ekranu, którego nazwiska nie wymienia się na pierwszym planie programów kinowych, któremu się nie poświęca całych szpalt reklamowych, jest tem nie mniej osobistością godną uwagi i uznania za swój humor bezpretensjonalny, bezpośredni i nacechowany niezwykłą naturalnością i szczerością. Potrafi on równie dobrze wywołać u widzów pogodny uśmiech, szczery, zdrowy śmiech, jak i wycisnąć łezkę, to też bawi nas i radośnie usposabia jego niezgrabna i może mało pociągająca, lecz jakże interesująca i życiowo prawdziwa sylwetka na srebrnym ekranie. Chester Conklin nie marzył, jak wiele innych gwiazd, o karierze filmowej.

Największem jego zamięłowaniem były studia ekonomiczne, jednak widocznie nie przynosiły mu one materialnych korzyści, skoro musiał szukać pracy na innem polu.

Tak więc warunki życiowe skłoniły go do statystowania w różnych wytwórniach filmowych, gdzie zarabiał 3 dolary dziennie, co, jak na stosunki amerykańskie, zbyt wielkiej sumy nie stanowi, jeśli się zważy, że zwykajny robotnik w zakładach Forda zarabia dziennie 7 dolarów.

Zczasem dostał podwyżkę na 5 dolarów. Był to już zawsze pewien postęp.

Jednocześnie występował Conklin jako kłown w słynnym zespole Barnesa i grał w wodewilach.

Karjerę filmową rozpoczął u Mac-Sennetta — króla farsy amerykańskiej. Słynne były w swym czasie „Mac-Sennett-girls”, podziwiane niejednokrotnie na ekranie przez wszyst-

kich miłośników Dziesiątej Muzy zarówno ze względu na wspaniałe ewolucje taneczne, jak i niezrównany dobór piękności.

Większość dzisiejszych gwiazd filmowych zawdzięcza swemu „wujciowi”, jak powszechnie nazywano Sennetta, dzisiejszą sławę i bogactwo.

Długo Conklin musiał się zadawać wielkimi rolami w różnych filmach, aż po wykonaniu większej roli w filmie Poli Negri p. t. „Bezwstydną kobietą” podpisał stały kontrakt z wytwórnią Paramount i odtąd gra w filmach tej wytwórni. Znany jest u nas z całego szeregu filmów, między innymi: „Mistrz detektywów”, „Riff i Raff jako marynarze”, „Kelnerka z Montmartru”, „Kabarét”, „Więcej pary” i „Mężczyźni woła blondynki”. Najlepszą jego kreacją była rola opiekuna i wychowawcy młodego studenta — Charles’a Rogers’a w pięknym filmie „Jego chłopiec”, gdzie dali razem prawdziwy koncert gry aktorskiej. Najnowszemi filmami Conklina są: „Długi książę” (z Adolph’em Menjou) oraz „Tajemnica wytwórni filmowej”.

Na zakończenie nieco szczegółów, dotyczących popularnego komika.

Otóż, urodził się on w stanie Jowa w mieście Oskaloosa (kiedy? — chyba nikogo to nie interesuje, nie jest przecież amantem!) Oczy ma niebieskie, zawsze nosi wasy i okulary, lubi grać w ping-ponga i pływać, no i, jak widzimy z załączonych ilustracji, namiętnie gra w golfa, w tenisa, tańczy... tańiec hawajski i, ku uciesze publiczności, jeździ również konno.



Fot. Paramount



Chester Conklin
grywa namiętnie w golfa,
w tenisa (systemem
własnym: piłką
na sznurku!)...
tańczy taniec hawajski
„Hula-Hula”
i, ku ucieście publiczności,
jeździ również konno...

Niezdrowy wyścig w budowie kolosów transoceanicznych

Duże poruszenie w sferach handlowo-morskich wywołała decyzja francuska budowy nowego kolosa transatlantyckiego, który, przy ogromnych rozmiarach, będzie — a można temu wierzyć — największym okrętem świata.

Nowy ten olbrzym, nazwany „Super-Ile-de-France”, którego plany już są zupełnie opracowane, o tonnażu przeszło 60.000 tonn i długości 300 m., znacznie przekracza pojemność swego poprzednika i imiennika: „Ile-de-France”.

A więc wyścig, prowadzony przez wielkie państwa morskie, trwa dalej, a nawet nabiera coraz większego natężenia.

Mało osób jednak, poza sferą specjalistów, zdaje sobie sprawę z rezultatów ekonomicznych podobnych zapasów między potentatami morza.

Niedawno prasa niemiecka głosiła na cztery strony świata sukces swego parowca „Europa”, który, osiągnąwszy prędkość 28 węzłów (44,8 kilometra na godzinę), pobił rekord zeszłoroczny swego poprzednika „Bremen”, wygrywając 35 minut na czasie przejazdu do N. Yorku.

Pozostaje teraz zastanowić się nad tem czy owe „35 minut” opłaca należycie wydatki i ofiary, poniesione skądinąd.

Technika stoi obecnie na takim poziomie, że nie przedstawia dla niej zbyt trudności ani przekroczenie 44 km. na godzinę, ani zbudowanie parowca większego choćby od największego, jaki obecnie pływają na morzyskie, a jakim jest amerykański „Leviathan” o 56.000 tonnach pojemności i 272 m. długości.

Ala tutaj natrafia się na wielki szkopuł: oto prędkość w tej dziedzinie kosztuje szalenie drogo.

Aby np. wtłoczyć w boki „Mauritanii” 75.000 koni parowych, które miały z niej zrobić „charcię morską”, wedle określenia jej konstruktorów, musiano poświęcić tyle miejsca, że przestrzeń pożyteczna statku została zredukowana do minimum. Wspaniały

okręt, ostatnie wówczas słowo techniki, okazał się niewyzyskany z tego powodu pod względem handlowym, i zaczął systematycznie dawać deficyt. Deficyt ten jest z roku na rok pokrywany przez rząd brytyjski, ale fakt pozostaje faktem. Taką samą bezwątpienia rolę przyjmie na siebie rząd niemiecki w stosunku do „Bremen” i „Europy”, które muszą okazać się deficytowymi imprezami.

Czasy powojenne zdawały się zaznaczać w tej dziedzinie zwrot ku rozsądkowi. Zaczęto propagować zasadę parowców o średnim tonnażu, mniej luksusowych, ale bardzo wygodnych, dających się korzystnie wyzyskać co do ilości kabin, a przede wszystkim ofiarujących tańsze stawki przewozowe.

Stało się to ku wielkiemu zadowoleniu podróżnych, których bądź co bądź mało obchodziły rekordy czasu, wyrażające się zaledwie w minutach, ale kieszeń których odczuwa te ekstrawagancje towarzystw okrętowych.

Od r. 1914 do 1917 spuszczone na wodę zaledwie jeden większy parowiec, Ile-de-France, o pojemności 44.000 tonn i szybkości 24 węzły, który zdawał się być szczęśliwym kompromisem, zamykającym bezsensowny wyścig „gigantyczności”.

Ale oto nagle wybucha dawna namiętność konkurencyjna, chęć podkreślenia swego prestiżu, nawet z uszczerbkiem interesów ekonomicznych, żądza wydarcia przeciwnikowi „błękitnej wstęgi oceanu”.

Włochy rozpoczynają 18 miesięcy temu budowę olbrzyma o 60.000 tonn — Oceanji; Włochy zamawiają dwa okręty o szybkości 28 węzłów, na co Stany Zjednoczone odpowiadają zapowiedzią uruchomienia dwóch innych, jeszcze szybszych.

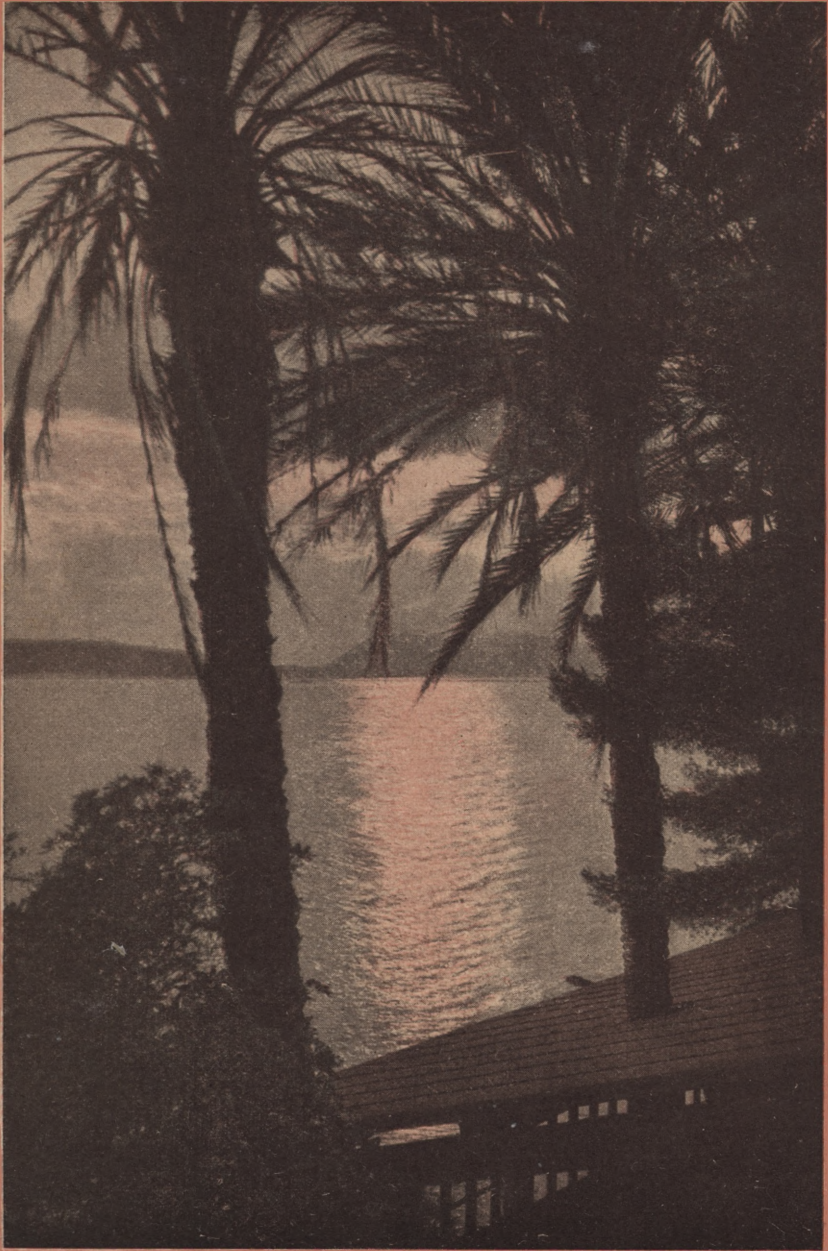
Wreszcie Francja nie pozostaje w tyle i rzuca swój atut, jakim będzie „Super-Ile-de-France” o nadzwyczajnej charakterystyce. Budowa tego kolosa zostanie umożliwiona przez urządzenie nowego basenu w Saint-Nazaire, który powstanie za cenę 80 miljon. fr. i sam przez się będzie „cudem” techniki.

Z. K.



Fot. J. Mioduszeński - Warszawa

Żebracza para



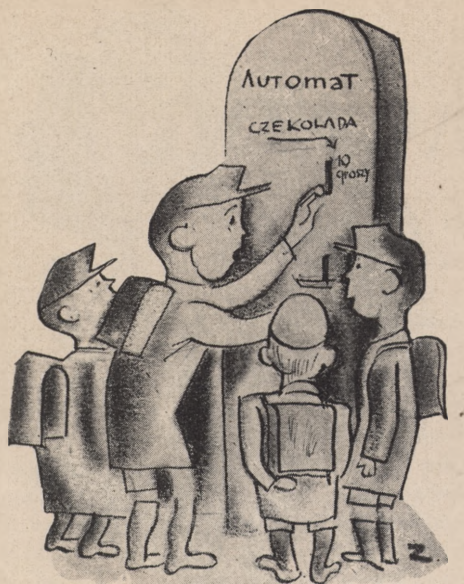
Przed zachodem słońca

Uroda życia

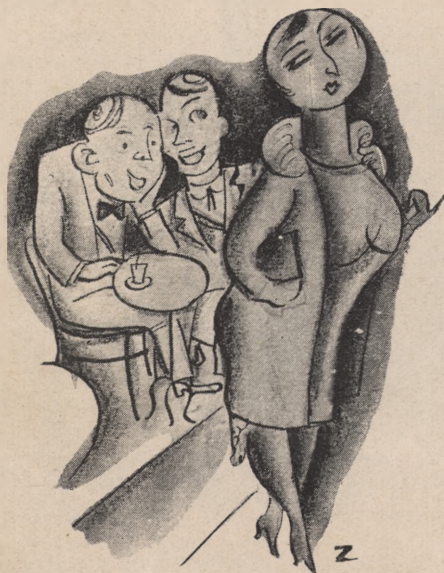
Napisał:

Best

Rys. J. Zaruba



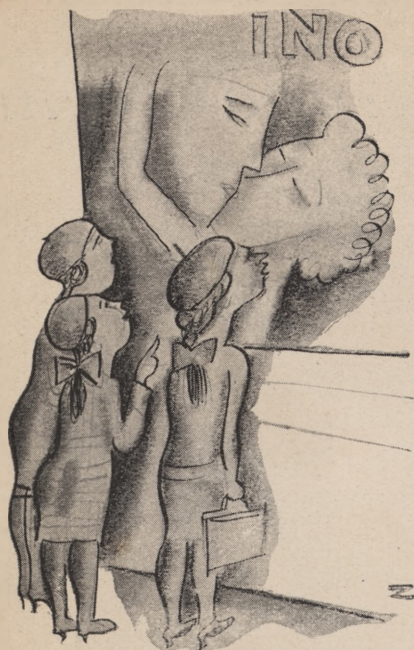
Oj najmłodszych, szkolnych lat ucz się
szczęścia szukać:
wrzucić guzik miast pieniędzy — to jest
trudna sztuka!



W knajpce miło przy kieliszku! Cóż tam
można stracić
Cnota? Fraszka A pieniądze?! Niechaj
Grecja płaci!...



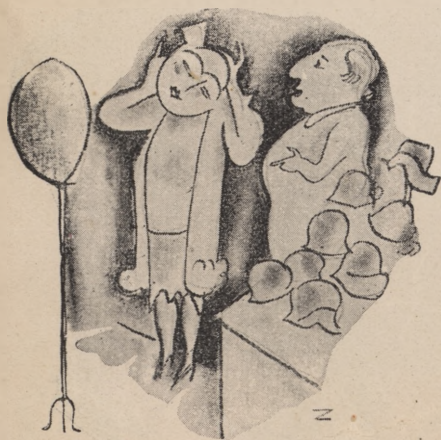
Gdy szlachecki nosisz sygnet, do tańca miej
werwę,
Kryminałem się nie przejmuj! Traktuj go
jak przerwę



*Dobre trzeba naśladować, pamiętajcie
o tem
Kino dobrze was wykształci, co to są
pieszczoty!*



*Dobry obiad jest jak balsam: łagodzi cier-
pienia!
Pij, byś nigdy nie miał sobie nic do wyrzu-
cenia*



*Kiedy płacisz, nikt nie pyta, skąd gotówkę
bierzesz!
Grunt to forsa! Jak was kocham, dziś i ja
w to wierzę*



*Gdy „pożyczysz” trochę z kasy, nie przejmuj
się, bracie!
Już wyścigi! Wierz mi, toluś, wielu już
wzbogacił!*

Powitanie wiosny

Napisat:

Bronisław Stefanowski

...od samego rana na schodach, prowadzących do zajmowanego przeze mnie apartamentu, panował niezwykle ruch; służba pałacowa rozścielała wspaniałe, ponsowy chojnik, pajacy w kusych kubraczkach rozstawiali ozdobne rododendrony i laury, apetyczne pokójoweczki chichotały z przejęciem po kątach, a kiedy wybiła godzina dziesiąta, do drzwi sypialni zapukał marszałek i wniósł mi do pokoju ogromny bukiet różnokolorowych róż.

— Wiosna, JO. Panie Generale! — odpowiedział na nieme pytanie, malujące się w moich oczach.

Tak pisze w swoim pamiętniku mój szlachetny prapradziad, oficer napoleoński, kawaler pełen fantazji i wigoru.

O, quanta miseria, czcigodny przodku! Gdzież jesteście, niezapomniane czasy, kiedy to dziewice nosiły długie suknie, a słowo „weksel” było synonimem czegoś strasznego?

Czytajcie, pobożni, i wyrwijcie włosy z bród waszych; posypcie głowy popiołem, bo, zaiste, o ileż był szczęśliwszy człowiek sto lat temu...

Oto urywek z mego pamiętnika:

29 kwietnia.

Jeżeli jutro Hosenduft przyjdzie przed szóstą rano, będzie to jego ostatnia ziemská wędrówka, bo kazałem Józefowi spuścić go dokładnie ze schodów. Nachalstwo tego poganina zaczyna przekraczać wszelkie dozwolone i niedozwolone granice. Dziś przez półtorej godziny walił obcasem w drzwi (Józef go poznał — i „nie było nikogo w domu”) z wytrwałością, godną sępa, który wyzerał wątrobę b. p. Prometeuszowi, i przynoszącą zaszczyt twórcy jego obuwia: Ponadto wykrzykiwał różne brzydkie nazwy. Podlec...

30.

Takiej rocznicy urodzin jeszcze nie pamiętam.

O dziewiątej rano był dzwonek, i wbrew zasadzie kazałem Józefowi otworzyć; byłem pewny, że to Idalja przysyła mi kwiaty wraz z woniejącym zachęcająco liścikiem.

Ładny kwiat wyszedł z tego wszystkiego! Zamiast zawodowego nosiciela róż, który ma minę głupio zakłopotaną i uśmiecha się domyślnie, kiedy szczodroblliwość odbiorcy pachnącej przesyłki odzwierciedli się w bakczyszu, zjawił się jakiś facet i krzychał rozdzierając bez nabrania oddechu przez dobre dwadzieścia minut.



Zjawił się jakiś facet..

Byłem pewny, że przytrafi mu się coś niedobrego, bo nic nie pomagało, chociaż mu Józef nie żałował dobrych słów i uspokajał go słowem i czynem. Wyszedłem więc i „własnoręcznie” musiałem interwenjować. Chodziło o jakieś głupie zeszloroczne siedemset złotych, które miałem nieostrożność pożyczyć od jakiegoś niewiernego.

Doprawdy, nie rozumiem, jak złośliwy charakter przybiera czasem zawziętość ludzka!

Po czwartej przyszedł Hosenduft, żeby mi złożyć życzenia, jak powiadał, więc się bardzo zmęczyłem, bo nie chciał wyjść dobrowolnie.

Tak się tem zdenerwowałem, że wypilem jeden kieliszek Vermouthu, potem drugi, potem siódmy..

3 maja.

Od samego rana coś się święci na ulicach; myślałem, że trochę odsapnę, ale przybiegł stróż i powiada, że dwóch panów wypytuje o mnie, i czy jestem jeszcze w Buenos Aires, czy już wróciłem.



Szukam haka, aby się powiesić...



Przyszedł Hosenduft...

Dostał, łobuz, od nich kubana, i aż się trząsł z uciechy, żeby mnie wsypać.

Zagroziłem mu śmiercią, jeżeli powie cokolwiek.

Niby wiosna. Owszem, ciepło, trochę słońca, i koty przestały miauczeć po dachach.

5.

Szukam gwałtownie haka w ścianie i paru metrów mocnego postronka. Ładnie się urządziłem, szlag może trafić: ci faceci, co to się przedwczoraj o mnie dowiadawali, to sekretarze mojego wujaszka, Dolarowicza, który bawił przejazdem w Warszawie.

A szczęście było tak blisko...

Hosenduft był trzy razy. Oszaleję — albo zapłacę wszystko, raz kozie śmierć...

Ładna wiosna, psiakrew...

Jeszcze kilka słów, a łzy mi trysną strumieniami. Lepiej przyjrzyjmy się spóźnionym i zgoła nie niewinnym igraszkom kotów na dachach, lepiej wezmę cię, nadobna i dobra czytelniczko (bo tylko kobieta i ja ro-

zumiemy powaby wiosny), za minjaturową rączkę i pójdziemy przejść się po Warszawie, zajrzeć niedyskretnym okiem tam, gdzie dotychczas zaglądali jedynie zakochani lub samobójcy.

Wyrwijmy się z ciasnego, zaczarowanego kręgu protestowanych weksli, zatoczmy wesołym spojrzeniem po horyzontach i powiedzmy sobie: — Wiosna!

Małeńkie rozważanie naukowe.

Jeden z moich znajomych, arbiter elegancji, starszawy już, ale jednocześnie młody gentleman, twierdzi, że wiosna zaczyna się w dniu, kiedy się wkłada jasne spodnie.

Takie stawianie kwestji uważam za zbyt już zindywidualizowane, i mimo całego szacunku dla spodni wyżej wymienionego gentlemana, przechylam się na stronę tych badaczy, którzy zbliżanie się wiosny bardzo trafnie odgadują po specyficznych nastrojach ludzkiej psychiki.

Per Dios! Czy mało macie znajomych, którzy noszą niezawodne barometry w kościach?

Posłuchajmy więc, co mi odpowiedział znakomity uczony, profesor Repko, na list, wystosowany przeze mnie w sprawie wiosny.

Drogi Panie Narcyzie!

Człowiekowi, noszącemu tak wiosenne imię, trudno nie odpowiedzieć na list, dotyczący

wiosny! Śpieszę więc z odpowiedzią, która niezawodnie zadowoli Pana i liczne rzesze czytelników „Naokoło Świata”.

Zdaniem mojem, punkt równonocy wiosennej, figurujący w kalendarzu pod datą 22 marca, nie odpowiada właściwemu początkowi wiosny.

Przytaczam na to następujące dowody:

1. Spożycie alkoholu zaczyna nieproporcjonalnie wzrastać dopiero po 20 kwietnia.

2. Najgorętsze miesiące dla ginekologów — to, zgodnie ze statystyką urodzeń, styczeń i luty.

3. Najważniejsze wydarzenia polityczne mają miejsce z zasady w maju, gdyż, zgodnie ze słowami poety, „wiosna uderza do głowy”.

4. Przeprowadzka futer do lombardu przypada głównie na kwiecień i maj.

Z tych, wyżej przytoczonych, względów należy wprowadzić wniosek, że początek wiosny waha się między 15 kwietnia a 1 maja, zależnie od pogody.

Z poważaniem

(podpisał) prof. Euzebjusz Repko.

List zacnego profesora zachowałem z wdzięcznością w specjalnie na ten cel przygotowanym koszu, dyskretnie ulokowanym pod biurkiem, poczem, posławszy futro do przechowania, zgodnie z § 4, krzyknąłem



Wagarujący

sztabak

jest dziś

rzadkością

(zresztą dość chrypliwie): — Wiosna! — i wyszedłem na ulicę.

Przywilejem Warszawy podczas pierwszych ciepłych dni jest kurz, który składa się z tak różnorodnej mieszaniny, że ze względów przyzwoitości publicznej powstrzymam się od jego opisu.

Chłuba stolicy, Zakład Oczyszczania Miasta, upostaciowany w setkach uzbrojonych miotłami osobników, działa skutecznie, jeżeli chodzi o powiększanie ilości miazmatów oraz złowonnych substancyj, unoszących się w żywiołowych podmuchach wiatru.

Wiatr!

Rzuca się na mnie z pasją, niby radosny, niby ciepły, ale tak jakoś z majowa niepokojącej i podstępny.

Uplasowana na rogu kwiaciarka przesyła mi uśmiech bardzo grzeczny i bardzo smutny, postillon d'amour, ponury, kulawy posłaniec kłania się zdaleka czerwoną czapką.

Mówiąc szczerze, czuję się bardzo głupio; tyle razy pisałem wiersze, gdzie wiosna ry-mowała się z radosna, a jakoś smutną jesteś, Warszawo, w dniach, kiedy pierwsza zieleń nieśmiało maluje gałęzie, kiedy natrętne wróble wyćwierkują swoje peany na cześć słońca.

Poszedłem w Aleje.

Łazienki szumią młodemi liśćmi; wykapany w majowych deszczach satyr wyprzystojniał i odżył.

Błąkam się po Łazienkach; na brodę proroka — inaczej tu bywało! Świat dziwnie sporządzał (może dlatego jest tak przedziwnie smutno?!), i wagarujący sztubak jest dziś taką rzadkością, jak pięćsetka w portfelu dyrektora banku.

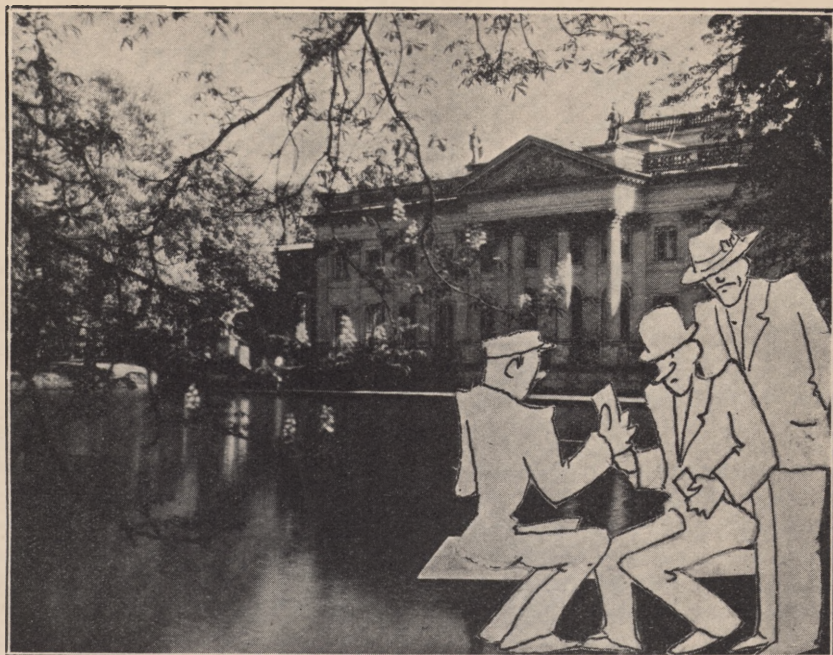
Na ukrytej dyskretnie ławeczce trzech złowrogo wyglądających gentlemanów (z typu Los Banditos) gra w „oko”; popatrzyli na mnie mocno zpolełba, porozumieli się wzrokiem, i nic, grają dalej, aż ławka trzeszczy.

Wiadomo wszem wobec i każdemu zosobna, że tę szlachetną grę wymyślili okuliści (dlatego też się tak oryginalnie nazywa!) i że na nich to ze stołu karcianej szczodrości spadały obfite okrucy w postaci pacjentów, których organy wzroku wymagały solidnej reparacji.

Tradycja nadwiślańska wymaga podobno tego, żeby wygrany wyniósł z gry, oprócz pieniędzy, także od trzech do pięciu złamanych żeber, przetrąconą piszczel, no i z reguły oko, zdefasonowane „swing’iem” czy „directe’em”.



Wiosna! Blaski i cienie...



Na ukrytej dyskretnie ławeczce...

Nie reflektowałem na zaszczytne skądinąd stanowisko pacjenta, i życząc grającym przyjaźnie: „Szczęść Boże!” — oddaliłem się z umiarkowanym pośpiechem, skręcając w krętą i cieniastą aleję.

Jakaś bardzo młodociana para odskoczyła od siebie gwałtownie.

Wzruszyłem się szczerze. Biedacy! Ona była nieco koślawa, on bladawy i lekko zezowaty, ale miłości, ty robisz cuda: wszystko się wydaje pięknem, skoro dotkniesz serca swojemi czarodziejskimi dłońmi.

Pisałbym tu o złośliwościach mego przyjaciela, który na tematy t. zw. serdeczne frywolnie sobie żartuje; nie uczynię jednak tego poprostu dlatego, że wiosna ciśnie mi pod pióro zbyt esencjonalne, pełne płochości określenia.

Tak. Łazienki się zmieniły! Nie tak dawno temu siadywałem na samotnej ławeczce (bez towarzystwa — zawsze byłem skłonny do melancholji) i marzyłem o dniach, kiedy będę wielkim, bardzo wielkim człowiekiem.

Dziś, kiedy się to sprawdziło (dla ścisłości dodaję, że mam 181 cm. wysokości w cieńniu), szukam wiosny w tem śmiertelnie nud-

nem mieście, i jestem pełen gorzkości, którą tylko śmierć lub koniak wyleczyć może.

Wybieram przystępniejsze z dwóch lekarstw i za chwilę ładuję w restauracji.

Jest wiosna, o ludzie!

Na każdym stoliku stoi wazonik, w każdym wazoniku stoi tulipan, uśmiechnięty, ponosowy tulipan.

Kwiaty działają na mnie, jak woda z sokiem na starozakonnym; łapię kartę, szukam gorączkowo.

Oto menu:

Nowalijki na surowo
(Cognac)

Winegret wiosenny
(Cognac $\times$ 3)

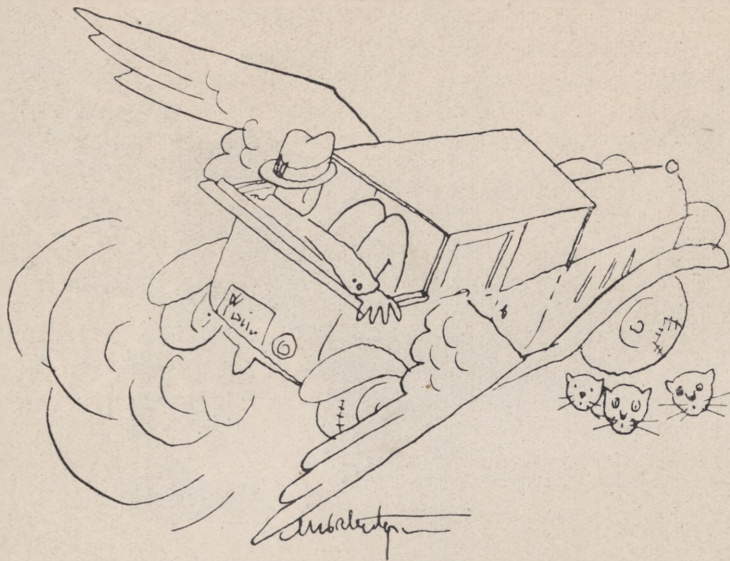
Kotlet Sardanapal, sauce Milanaise
(Cognac ad infinitum)

Lody à la Printemps
Kawa

Cygara trotuaros P. M. T.

A potem, zamiast sjesty, ładuję swoje 80 kilo do samochodu i mknę do Wilanowa, pełen rymów i nastrojów.

Marzę o tem, że Hosendufta przejechał tramwaj, że „wyszedł” mój los na loterii,



Wóz zamienia się w Pegaza...

że wujaszek Dolarowicz został nawiedzony przez proroczy sen i wrócił do mnie, obładowany walutą.

Szofer jest najwyraźniej po kilku bardzo głębokich, albo prześladowuje go manja samobójcza: jedzie z szybkością, przynoszącą zaszczyt twórcom gruchotu, któremu zawdzięczam rozkosze tej wycieczki.

Mniejsza o zaszczyty; rzekam się ich na korzyść ubogich, ale jak wytłumaczyć takiemu specjaliście od kierownicy, żeby dbał o moje życie i — pośrednio — o wierzyteli?!

Wóz zamienia się w legendarnego Pegaza; przeklinam Sardanapala, Hosendufta i innych cudzoziemców, i mknę z szybkością 90 kilometrów na godzinę do pierwszego drzewa, na którym moje przeznaczenie uzna za stosowne skrócić mi kark.

W Wilanowie niemiła bardzo niespodzianka: każą płacić pół pistola za wejście do parku. Co za czasy! Czy może być w takich warunkach mowa o oszczędności? Trzeba przecież „odchodzić” wymienioną kwotę, łąziłem więc przez dwie godziny wśród drzew, które król Jan sadził w chwilach wolnych od zajęć.

Szofer pocieszał się w samotności monopolką, jakiś tegi parobas krasną Magdą, a ja usiłowałem skończyć cygaro (marka — jak

wyżej) w myśl zasady, że co zapłacone — to dobre.

Wtedy też powstał wiersz, który gwoli przekazania potomności umieszczam tutaj:

O wiosno! Pełna jesteś zadziwien i strachów,
krew ozięblą zamieniasz na wracającą —
małmazję — —
Któż ciebie nie odczuwa?! Nawet kot na dachu
miauczy teraz z niezwykłą, namiętą fantazją.
Dźwięczą wróbleń ćwierkotów krzykliwe fanfary,
na ulicę wyległy skrzydlate szwadrony,
teraz zaczną się randki, spacerki, wagary,
i miłość będzie zbierać romantyczne plony!
Wiosno! Wiosno któż wzruszeń dziwnych
nie pamięta?
Każdy teraz chce objąć lutnię po Bekwarku...
Teraz zaczną się raki, po polsku kurczęta —
No — i flirt platoniczny w wilanowskim parku —

W ten oto sposób, oddawszy poezji co jej się należy, pełen wzruszeń wiosennych, wróciłem kolejką do domu, bo szofer z powodu nadużycia wody rozweselającej, nie reagował wcale na niedwuznacznie wyrażane przeze mnie chęci powrotu do Warszawy.

Chwyciłem pióro — i w porywie natchnienia popełniłem wiersz, w którym „wiosna” rymowała się z „radosna”.

Ilustracje M. Walentynowicza

Hallo... hallo...— mówi Bell...

Napisał:

Juljan Sobiesz

— Mój Boże! Watson, chodź tu prędko, oblałem sobie spodnie kwasem — powiedział Aleksander Graham Bell do swego pomocnika. Były to pierwsze słowa wypowiedziane 54 lata temu przez wynalazcę telefonów przez pierwszy telefon na świecie. Kawałki pierwszego drutu telefonicznego i pierwsze słuchawki, w rodzaju kielichów, przez które wynalazca Bell wzywał pomocy, zostały po dziś dzień zachowane w Narodowym Muzeum Amerykańskim. Nie odrazu był telefon tak doskonały, jak obecnie. Trzeba było długich lat pracy i milionowych kapitałów zanim wynalazek ten stał się najprędszym z gońców ludzkich, unoszącym niby wiatr słowa ludzkie na tysiące kilometrów wdał. A nawet dziś, kiedy słowa wypowiedziane przez telefon w Warszawie słychać najdokładniej w Londynie, uczeni nie przestali pracować nad dalszym ulepszeniem tego wynalazku.

Największa armia uczonych, pracujących wytrwale nad dalszym udoskonalaniem telefonów znajduje się w Laboratoriach zwanych „Bell Laboratories” w Nowym Jorku.



Przy budowie pierwszej słuchawki telefonicznej

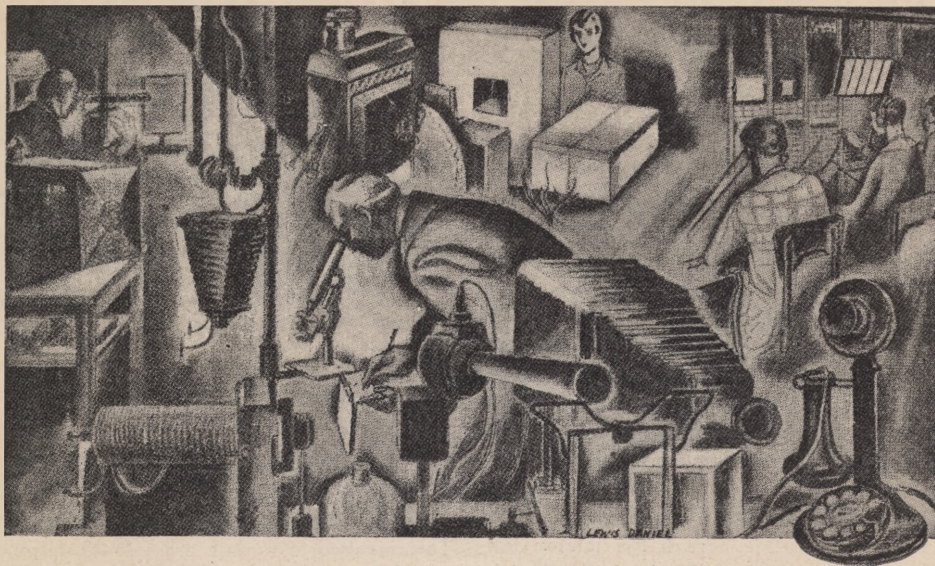


— Mój Boże! Watson, chodź tu prędko...

Jest to największe laboratorium na świecie. Przeszło 2000 pracowników tego laboratorium posiada wykształcenie uniwersyteckie. Towarzystwo to wydaje przeszło 20 milionów dolarów rocznie na eksperymenty w dziedzinie narzędzi i instrumentów telefonicznych. Wielka ta suma pokryta jest przez Bell Laboratories i znane z filmów dźwiękowych Western Electric. Mózg ludzki, wytrzymałość i wielkie kapitały idą ręką w rękę, aby coraz większe osiągać możliwości dla człowieka.

Uczeni z Bell Laboratorium są to ludzie z zawsze zabrudzonymi paznokciami, których mową jest kreślenie na kawałku papieru rozmaitych diagramów i planów. Przez ich ręce i mózg przechodzą wszystkie prawie wynalazki dotyczące się komunikacji telefonicznej, a obecnie i filmów dźwiękowych. Możliwości głosu ludzkiego są celem badań tej wielkiej rzeszy uczonych, na których czele stoi obecnie dr. Frank Baldwin Jewett.

Nowocześni alchemicy, jak nazywają badaczy i poprawiaczy wynalazków w Bell Laboratories, dążą nie tylko do osiągnięcia najlepszych rezultatów z wynalazku, ale też dążą do najtańszego wytwarzania przyrządów, aby uczynić je przystępnymi dla wszystkich. Każda śrubka, każde kółeczko, każdy drucik i bateria każda poddane bywają długim i wyczerpującym próbom nim zostają oddane do użytku. Jest w Bell Laboratorium maszyna, która dzień i noc mówi jedne i te same słowa: „ona czekała na mnie na mojej łacie”. Druga taka maszyna powtarza nieustannie: „Joe zabrał ojcu stołek szewski”. Obie te maszyny służą do zbadania szybkości przenoszenia głosu i słów ludzkich. Powyższe



W Bell-Laboratorium. Uczeń badają właściwości robaczka, który żywi się ołowiem

słowa zostały wybrane dlatego, że zawierają przeciętną ilość sylab, używanych w mowie ludzkiej przez telefon. Inny znów przyrząd podnosi 20 tuzinów aparatów telefonicznych z rozmaitych materiałów i zrzuca je z 1½ metra wysokości, próbując w ten sposób ich wytrzymałość. Jeszcze inny przyrząd bezustannie wsadza i wyjmuje łączniki, badając ich wytrzymałość. Czasami wystarczy godzina próby, aby się inżynier przekonał o wytrzymałości jakiegoś przyrządu lub jego części. Ale bywają wypadki, że całymi tygodniami, miesiącami, a nawet i latami całymi trzeba badać drobnutkie kółeczko, aby się móc przekonać o jego wartości. Zdarza się często, że przyrząd do badania psuje się prędzej, niż przedmiot, którym się ten przyrząd bada. Bell Laboratories jest to wielkie miasto badań i doświadczeń, w którym szereg wynalazków musi przeleżeć lata całe zanim bywa wypuszczony na rynek na użytek publiczności.

Pierwsze próby z radjotelefonem były już czynione w 1915 roku, kiedy pierwsza rozmowa z Arligton, stacji koło Waszyngtonu, była doskonale słyszana w Paryżu, Panamie i Honolulu. Wojna światowa uniemożliwiła dalsze doświadczenia z Europą, aż do stycznia 1923 r., kiedy pierwsza długa rozmowa odbyła się między Bell Laboratorium a Lon-

dynem. Dziś Bell Laboratorium doprowadziło radjotelefon do takiej perfekcji, że można ująć słuchawkę w Nowym Jorku i pomówić z pasażerem, jadącym na okręcie na morzu Indyjskim, lub Bałtyckiem.

Bell Laboratorium nietylko robi nowe wynalazki, ale ze specjalnem powodzeniem ulepsza stare. Przez przeszło pięćdziesiąt lat starano się ulepszyć tubę telefoniczną. Istniały rozmaite tuby, ale żadna nie była idealna. Wezwano 25 rzeźbiarzy, wymierzono głowy 3000 osobom, aż nareszcie wynaleziono dobrą tubę, którą wkrótce Bell Laboratorium ma zaprowadzić na całym świecie. Bell Laboratorium nie szczędzi nigdy pieniędzy na ulepszenia.

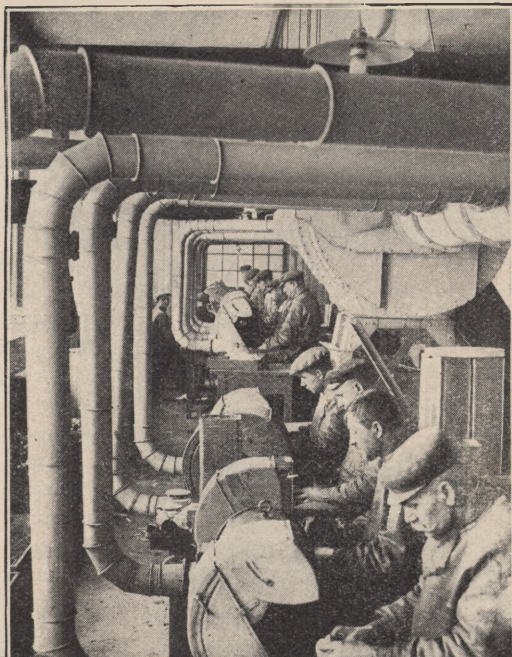
Uczeni z Bell Laboratorium spotykają się nieraz z podobnym losem co i sam wynalazca telefonów. Kiedy Aleksander Graham Bell, były nauczyciel dykcji w Anglii, a następnie profesor głuchoniemych w Bostonie, wynalazł telefon, ludzie nazwali go warjatem, brzechomówcą i oszustem. Sam jego teść, ojciec głuchoniemiej uczennicy, w której się Bell zakochał, groził mu odebraniem córki, jeśli nie przestanie zawracać sobie głowy „warjackimi drutami”. Ale Bell wytrwał i wraz ze swym pomocnikiem Watson'em wystawił swój wynalazek na powszechnej wystawie w Filadelfji. I tam dopiął celu. Na

szczęście wystawę wówczas zwiedzał ostatni imperator, Bazyli Dom Pedro II i tak się zachwycił wynalazkiem, że kazał sobie urządzić prywatny telefon. Wkrótce 6 banków w Bostonie również poszło śladem imperatora. Bell przezwyciężył trudności. Z oddaną pomocą dwóch nowych przyjaciół inżynierów Gillilianda i Berlinera, który pochodził z Polski i który wynalazł aparat nadawczy używany po dziś dzień, telefon wszedł w użycie i na początku XX stulecia Bell widział prawie całą cywilizowaną część Ameryki, połączoną z Europą drutami telefonicznymi. Narody się zbliżyły zapomocą wynalazku Bell'a. Pełen uczucia zwycięstwa wrócił do Salem, koło Bostonu, gdzie czynił pierwsze próby wynalazku swego i skąd pochodziła jego żona i znów tam nauczał biedne głuchonieme dzieci. Bell Laboratorjum miało również dużo trudności z realizacją filmu dźwiękowego. Kiedy w

roku 1925, połączywszy się z firmą Western Electric, zajęło się rozpowszechnianiem filmów mówionych, żadna wytwórnia nie chciała nawet słyszeć o nowym wynalazku. Dopiero, kiedy Sam Werner, współwłaściciel wytwórni Werner Brothers, podjął pierwszą próbę zrealizowania filmu dźwiękowego, wynalazek się przyjął i dziś święci triumfy wszędzie, dzięki doświadczeniom uczonych z Bell Laboratorjum. Wielką trudnością przy filmach dźwiękowych był głos

kobięcy. Okazało się, że głos kobiety posiada 256 drgań na sekundę i nie rejestruje się tak dobrze, jak głos męski. Przeto trzeba było zbudować specjalny budynek, ustawić specjalne maszyny i kosztem setek tysięcy dolarów zwalczyć trudność.

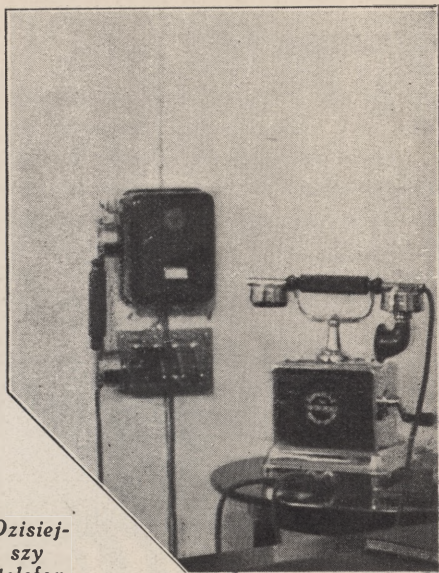
Nieraz uczeni w Bell Laboratorjum, zajęci pewnym wynalazkiem, robią inne zupełnie nieoczekiwane, ważne odkrycia. W ten sposób został wynaleziony audiometr,



W nowoczesnej fabryce telefonów

przyrząd do mierzenia słuchu, jakoteż i stetoskop elektryczny, który umożliwia wielkiej liczbie studentów jednoczesne badanie uderzeń tego samego serca. Przykładając stetoskop do jabłka, lub śliwki, można słyszeć jak robak w środku toczy owoc. Wynaleziono również sztuczną krtąń, która teraz zastępuje krtąń ludzką, — często przez chirurgię stosowaną.

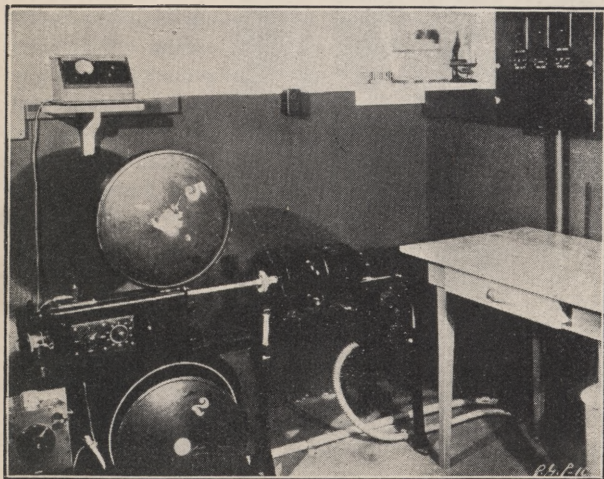
Silne, bogate i zasłużone jest Bell Laboratorium. Tysiące genjuszów ludzkich wyteża mózgi swe w tem mieście doświadczeń przy pomocy wielkich kapitałów, aby uczynić życie ludzkie wygodniejszym i lepszym. Miliony trudności pokonano w tem laboratorium. Ale istnieje jedna trudność, której ci wielcy uczeni z całym zasobem swej umysłowości i pieniędzy pokonać nie mogą. Jest to mały, bardzo mały robaczek, który — trudno uwiecznić — żywi się ołowiem. Mały a niezwykle ciężony ten robaczek wyrządza towarzystwu kolosalne szkody, sięgające rocznie milionów dolarów. Najbardziej robak ten ni-



Dzisiejszy telefon

szy telefony w Chinach i Florydzie. Nie jeden raz już komunikacja telefoniczna została przerwana przez tego małego szkodnika. Specjalny zastęp uczonych bada już 6-ty rok środki obrony przed tym wrogiem telefonów.

Obecnie Bell Laboratorium zajmuje się telewizją. Wyrok wydany przez uczonych tego laboratorium opiewa, że wynalazek narażenie nie jest pożyteczny dla ogółu i jeszcze dużo czasu upłynie, zanim będzie można szeroko korzystać z usług telewizji. Jest ona zadrogą, aby nadawała się do powszechnego użytku publiczności. Jednak dalsze ulepszenia są przewidywane i być może, że za parę lat będzie można zastąpić obecnie używane telefony lepszym jeszcze wynalazkiem.



Aparat do fotografowania dźwięków

Fenomenalny rachmistrz

Nie wielu z pośród naszych czytelników wie zapewne o tem, iż posiadamy w Warszawie człowieka, który zyskał sobie już rozgłos najfenomenalniejszego rachmistrza świata.

Jest nim p. S. Finkelstein, którego paryski „Le Temps” nazwał „największym rachmistrzem wszystkich czasów”. Oznaczałoby to, że jak świat światem Finkelstein nie miał sobie równego w swej ciekawej specjalności.

Tą specjalnością jego są liczby, cyfry...

— Dla mnie liczby nie są tylko martwymi formułkami, złożonemi z szeregu symboli, któremi oznaczamy daną cyfrę. Każda liczba jest dla mnie żywym materiałem, jest tem, czem są słowa dla poety, tony — dla muzyka...

Tak mówił p. Finkelstein, którego zaprosiliśmy do naszej redakcji, pragnąc zapoznać się z jego niebywałemi uzdolnieniami.

Nie ulega wątpliwości, iż Finkelstein jest zupełnym fenomenem w swoim zawodzie.

Potrafi on sam jeden wykonać pracę 30—



S. Finkelstein

40 rachmistrzów, jest bezkonkurencyjny nawet w zestawieniu z elektryczną maszyną do liczenia...

To już mówi bardzo wiele, ale wygląda niewiarogodnie. Otóż na tem właśnie polega fenomenalne właściwości jego umysłu.

Finkelstein ma obecnie lat 33, urodził się bowiem w 1897 r. w Łodzi, gdzie też ukończył szkołę handlową. W szkole był zawsze uczniem zdolnym, przejawiającym szczególne zamiłowanie do matematyki, nie zdradzał jednak żadnych nadzwyczajnych uzdolnień w tym kierunku. Prostu z wykładanych nauk lubił najwięcej matematykę.

Poświęcił się następnie zawodowi handlowemu. Dopiero w r. 1920, pracując w Poznaniu, spotkał się kiedyś z pewnym rachmistrzem, podziwianym ogólnie z powodu niezwykłej łatwości dokonywania pamięciowego mnożenia znacznych liczb.

Finkelstein popróbowował wówczas naśladować owego rachmistrza i przekonał się, że podobne, a nawet trudniejsze zadania pamięciowego mnożenia rozwiązuje z wielką szybkością i łatwością.

Stwierdził przytem, że pomaga mu w tem niezwykle jasna i żywa wyobraźnia wzrokowa.

PROF. DR. STEFAN BŁACHOWSKI
POZNAN, UNIWERSYTET

Poznań, 8 mar. 1930.

W dniu 8 marca 1930 pobrałem
p. Cieniewskich Topologię w Uniwersytecie
Poznańskim p. S. Finkelsteina.
p. Finkelstein wykazał zadziwiającą pamięć
liczb oraz mielibyśmy być go zachwyceni.
Właśnie to cechy stawiają go w rzędzie najwybit-
niejszych rachmistrzów świata. Specjalnie
o zabroni dodawania p. Finkelstein bez-
konkurencyjny. Wybitniejszego mielibyśmy po-
znajomość, dzięki p. Finkelsteinowi za
uprzejmość pobrać, o jakiej sobie pobrać
Cieniewskich

Stefan Błachowski

Dzięki namowię dr. K. urządził F. wówczas w Poznaniu pokaz publiczny, na którym popisywał się sumowaniem, mnożeniem, potęgowaniem, pamięcią cyfr i t. d. Zaniechał jednak niebawem publicznych występów — sam nie ufał zbyt swojemu fenomenalnemu uzdolnieniu.

W r. 1924 przeczytał wiadomość o rachmistrzu Lipowskim, który uważany był za fenomen w swoim fachu.

Przerobiwszy jednak szereg ćwiczeń, na których podstawie Lipowskiego uznano za fenomen, doszedł do przekonania, że posiada także uzdolnienia, jednak w nierównie spotęgowanym stopniu. Zademonstrował wówczas podobne ćwiczenia w gronie ludzi nauki, którzy doradzali mu popisanie się podobnymi próbami w szkołach, przypuszczając, iż posiada to wartość pedagogiczną. Takie demonstracje zorganizowano prawie we wszystkich szkołach łódzkich. W Warszawie poznał się następnie Finkelstein z profesorem psychologii Wolnej Wszechnicy, d-r'em Segąłem, który zaprosił go na badania. Prawie jednocześnie badał go również prof. psychologii, dr. Witwicki, i wynikiem tych badań było orzeczenie, że F. jest jednym z najlepszych rachmistrzów świata.

Badany również w towarzystwach lekarskich, Finkelstein poddał się wreszcie badaniu w szpitalu Ujazdowskim w Warszawie w zakresie przemiany materji podczas pracy umysłowej. Dr. Szulc, który te ostatnie badania przeprowadzał, nie znalazł żadnych szczególnych oznak zachodzących w organizmie zmian podczas nadzwyczajnych wprost prób rachunkowych.

Podziwiał go również profesor Dickstein.

Na specjalnem posiedzeniu jubileuszowem z powodu 300-lecia Pol. Tow. Psychologicznego, odbytem w Uniwersytecie Warszawskim w kwietniu r. 1925, profesor Segął referował wyniki badań zdolności Finkelsteina.

W tym czasie F. przyjął posadę w Gł. Urzędzie Statystycznym, gdzie, pracując w ciągu 4-ch lat przy bilansowaniu wydawnictw, wykonywał pracę 30—40 ludzi, przy czem przez cały ten okres czasu nie stwierdzono w pracy jego ani jednej omyłki.

Pracował również dorywczo w Min. Skarbu i Prezydjum Rady Ministrów.

W r. 1928 udał się na zaproszenie prof. politechniki gdańskiej, d-ra Henninga, do

Gdańska, gdzie po dokonaniu badań demonstrował swe uzdolnienia wobec ciała profesorskiego i akademików. Na seansie tym obecny był również gdański świat naukowy, przedstawiciele władz oraz minister Straszburger.

W r. 1929 uniwersytet w Chicago nadał Finkelsteinowi tytuł doktora honoris causa wszech nauk.

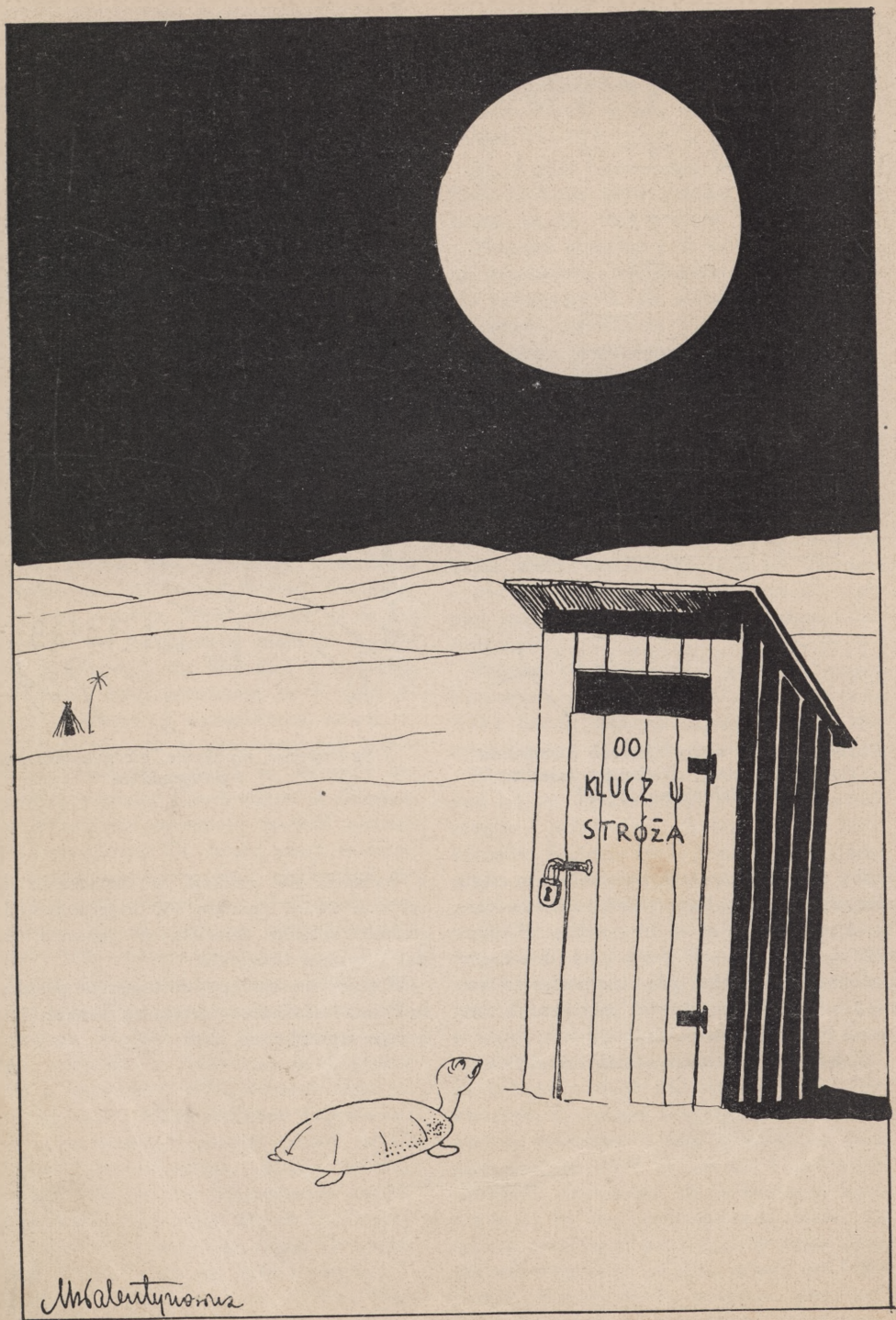
Wreszcie w marcu r. b. udał się ponownie na zaproszenie uniwersytetu do Poznania dla zademonstrowania swych fenomenalnych uzdolnień rachmistrza i uzyskał tam nadzwyczajnie pochlebne zaświadczenie prof. d-ra Błachowskiego.

Finkelstein jest człowiekiem bardzo prostym w sposobie bycia, pozbawionym poży i traktującym poważnie swój zawód.

Zdolności jego polegają na ponadnormalnie rozwiniętej i nader rzadko w tym stopniu spotykanej zdolności żywego wyobrażania sobie wzrokowego, pamięci doraźnej i trwałej, zdolności skupienia uwagi, szybkiej reakcji umysłowej i olbrzymiem zamięłowaniu.

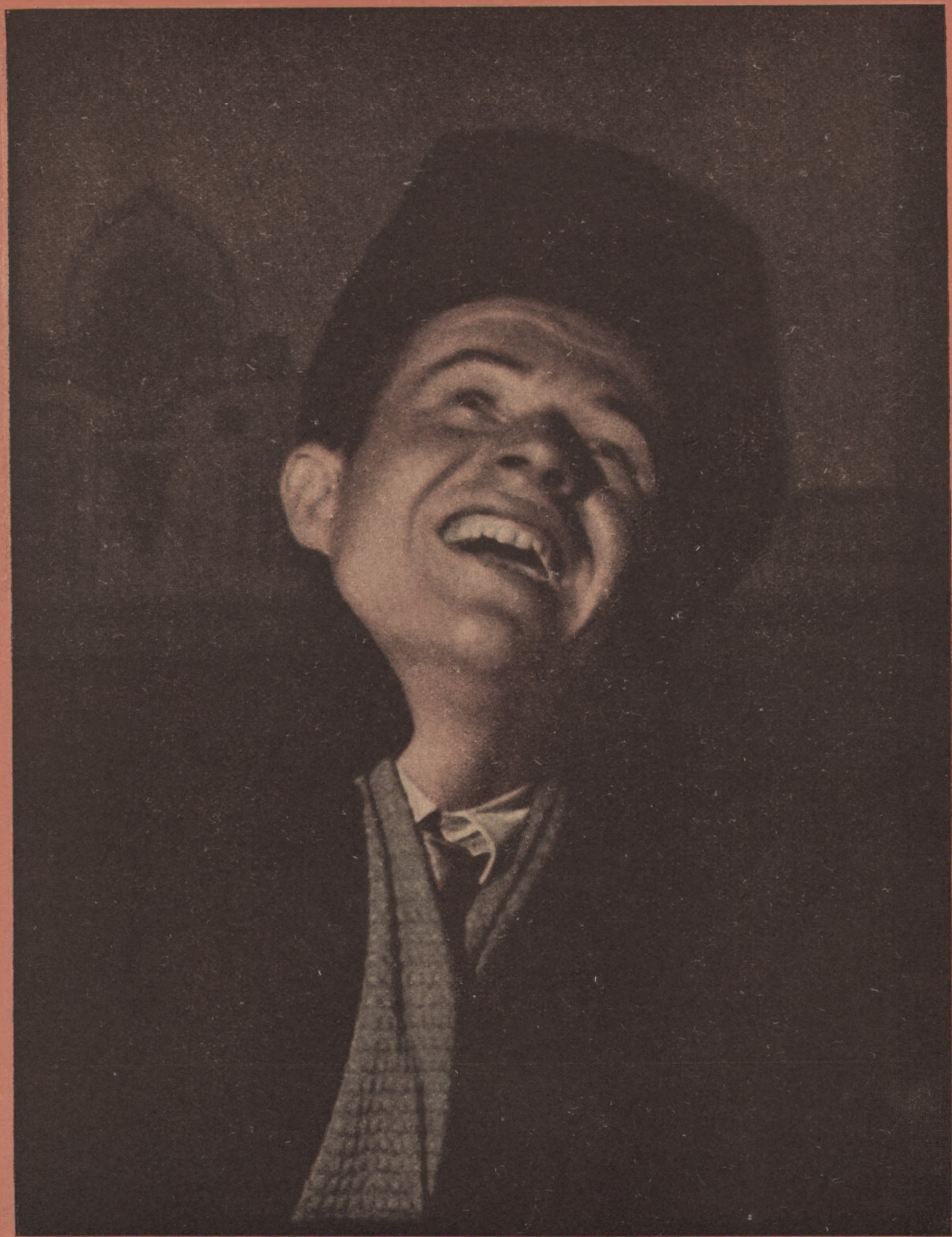
Podczas dokonanego w redakcji seansu Finkelstein wykonał wiele b. ciekawych prób. Kilka takich ćwiczeń zawierają dwie zreprodukowane tu kartki papieru.

Błyskawiczność dokonywania rachunków jest wprost nie do wiary. I tak: Finkelstein sumuje 6 jednocyfrowych liczb w ciągu 0.035 sekundy (badania przy pomocy specjalnego przyrządu elektrycznego); 15 takich liczb, podpisanych jedna pod drugą — sumuje w 0,24 sekundy, czyli w czasie tak krótkim, że przeciętny człowiek nie zdoła nawet zauważyć i odczytać całego szeregu. Kwadratu, podzielonego na 25 części z wpisanymi w każdy z powstałych w ten sposób 25 kwadratów jednocyfrowymi liczbami — uczy się na pamięć w ciągu 15,1 sekundy i recytuje następnie z pamięci wszystkie liczby w dowolnym kierunku, a więc z prawa na lewo szeregami od góry ku dołowi i odwrotnie, szeregami pionowymi, po przekątnych kwadratu, i, co jest najtrudniejsze, nawet po spirali. Recytować może taki w ciągu 15-tu sekund wyuczony kwadrat nawet po kilku dniach. Mnoży, dzieli, potęguje, pierwiastkuje — szybciej, niż maszyny elektryczne. Logarytmuje w ciągu kilku sekund bez tablicy. Rozkłada w pamięci czterocyfrowe



M. Walentyński

Z cyklu: Tragedja pustyni...



Fot. J. Rożnowski - Wilno

Radość życia



Fot. Ž. W. Ž.

Motyw ze Splitu (Jugoslavia)

Rzemiosła w starożytnym Egipcie

Nowa serja odkryć archeologicznych w Egipcie znów przyciągnęła uwagę świata do tego kraju, którego pomniki kryją istne skarby jednej z największych cywilizacji zamierzchłych wieków.

Pomimo wiadomości, jakie dają nam przebogate działy egiptologiczne muzeów wszechświatowych, i klasyczne prace Maspero i Jéquier i innych, każdy rok pracy na wdziecznym terytorjum dawnych faraonów przynosi nowe fakty i nowe zagadki.

Jedną z takich przez długi czas była, a częściowo jest i obecnie, sprawa rzemiosł w starożytnym Egipcie, związana bezpośrednio ze stanem techniki, którego widowym wykładnikiem są zdumiewające budowle i znajdowane wewnątrz nich przedmioty.

Prawdziwem dobrodziejstwem okazał się dla nas zwyczaj egipski przedstawiania życia, zwyczajów i metod pracy zapomocą licznych malowideł i płaskorzeźb, co razem z opisami hieroglificznymi staje się dla nas prawdziwą rewelacją.

Na szczególną uwagę zasługują malowidła, przedstawiające sposoby pracy. Są one tak ujęte, że rysunek zawsze przedstawia najciekawszy moment, i najbardziej zasadniczy widok obrabianego przedmiotu. Stąd pochodzą nasze, w wielu wypadkach dokładne wiadomości o stanie rzemiosł i techniki budowlanej Egiptu.

Szczegółowo np. przedstawiona jest praca złotników, oczyszczanie metalu, jego rafinowanie, miechy poruszane nogami, kowadła i młoty kamienne. Nie mniej dokładnie przedstawiony jest wyrób waz i naczyń z krzemienia, zapomocą drażenia ich wiertłami metalowymi.

Stolarze dzielili się na 3 kategorie, z których najwyższa była kategoria polerowników.

Do wiercenia dziur w drzewie były używane świdry ze smyczkiem, które i dzisiaj mają zastosowanie.

Specjalne malowidła pokazują sposób wyginania drzewa, służącego do różnych wyrobów.

Również posiadamy dokładne wiadomości co do budowy statków, których były dwa typy: statki właściwe, i łódki papyrusowe, te ostatnie używane do polowania.

Właściwe statki były budowane na stocznicach. Szef robót wyobrażony jest z pionem w jednej i ogromną linją w drugiej ręce. Drzewem używanem, co zaznacza jeszcze Herodot, była akacja, przyczem Egipcjanie budowali swe okręty tak, jak murarze budują mur, układając deski jedną na drugiej, i łącząc je kołkami.

Po wykończeniu cała budowla była zalewana kleistym płynem dla uszczelnienia.

Do czerpania wody używano żórawia, a później, pod koniec XVIII-ej dynastji, zjawia się lewar w naszej konstrukcji.

Wyrób szkła sięga najodleglejszych czasów w historii Egiptu, gdyż takie materiały jak piasek kwarcowy, potasz i soda, znajdowano w obfitości.

Niektóre rodzaje emalii egipskich zachowały do dziś dnia tajemnicę swego składu, a imitacje takich kamieni, jak szmaragd i ametyst są wprost zadziwiające.

Niektóre malowidła pokazują znany i obecnie sposób wydymania naczyń szklanych, zapomocą, w tym wypadku, trzciny.

Porcelana egipska przypomina swym wyglądem wczesne wyroby sewrskie.

Tak samo od niepamiętnych czasów wyrabiano w Egipcie papier z papyrusu, przez układanie cienkich błonek łodygi tej rośliny dwiema warstwami, jedna nad drugą w kierunkach prostopadłych do siebie, zwilżanie arkusza płynem kleistym i wreszcie, prasowanie go.

Otrzymywane w ten sposób arkusze sklejanego, otrzymując zwit, który przez czas długi przetrwał, jako forma rękopisu.

W Egipcie widać już początki wyzwolenia się rzemiosł i surogatu wiedzy technicznej z pod kontroli władzy magiczno-religijnej, która, jak wiadomo, miała na nie wiekowy monopol, wprowadzając instytucję „wtajemniczonych”.

Z. K.



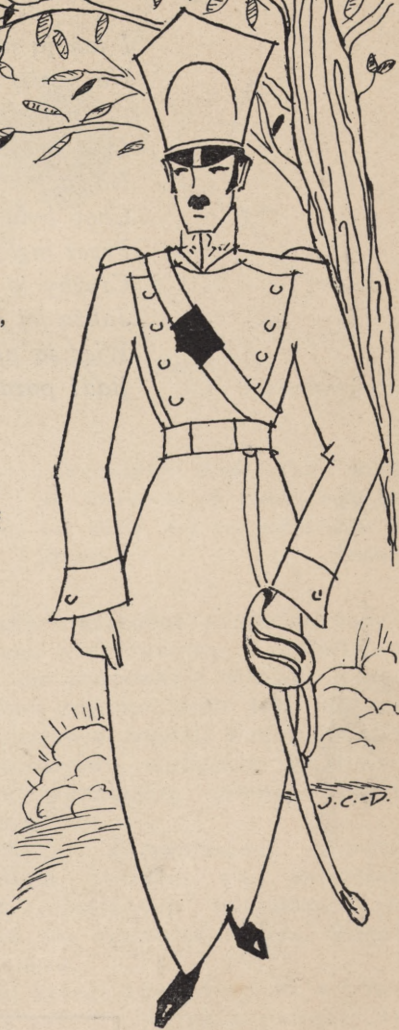
W rzeźbionem łożu

W rzeźbionem pięknie i bogato łożu
Leży markiza. Jest jeszcze zbyt wczesnie,
Wstawać nie pora. Przeciąga się w morzu
Puchów, muślinów i zwiewnych koronek.
Coś jej się dzisiaj przywidziało we śnie.
Na niebo róże blade sypie dzionek
I słońce w wodzie krwawe ognie pali.
Markiza wzdycha na morzu koronek,
Przyszły dziś do niej wspomnienia z oddali.
To, co odeszło w grób czasu — nie wskrześnie...
Coś się markizie dziś zwidziało we śnie.



Spotkanie

Poranek był przezroczo błękitny i złoty...
Markiza wyszła właśnie na małą przechadzkę,
Wielką pasterką skryła swoje bujne sploty...
Los dziś jej przygotował okrutną zasadzkę:
Dziś, gdy gwoli wygodzie rozpuściła sploty,
Nie sypała ich pudrem... dzionek taki złoty...
Nie wzięła także sztywnej sukni z brokateli...
Dziś go właśnie spotkała... (Bogowie wiedzieli

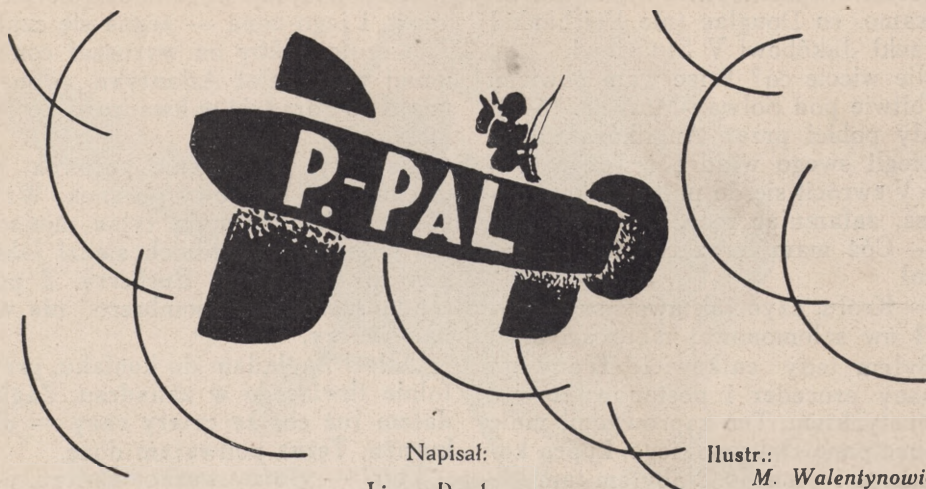


*Co robią i zeszali na drogę ułana)
Pięknego chłopca spotkać od samego rana,
To szczęście... lecz markiza była nieubrana.*

*I tak ją ujrzał w białej sukience z muslinu
Na pustej dużej drodze w złotym pyłe słońca
Ale mon Dieu... on pomyśli, że dziewczyna z gminu,
Lecz przystanął i patrzył bez końca.
No, a takby nie patrzył na dziewczynę z gminu...
Choć była w takiej zwykłej sukience z muslinu.
Przez mgłę dali przedarło się wspomnienie żywe...
Czyżby to on? O lata dziewczęce szczęśliwe,
Jakże jej serce bije... o radosny dzwonek...
Więc ją ujrzał jak ongi... na drodze we słońcu...
Bądź pozdrowiony jasny... roześmiany dzionku.*

Irena Zarzycka





Napisał:

Jim Poker

Ilustr.:

M. Walentynowicz

Największy błąd ludzki polega na wierzeniu, iż rzeczy będą się tak miały, jak my sobie tego życzymy...
Bossuet.

Było to dwa lata temu. Gorączka podróży powietrznych opanowała wówczas całą Polskę. Pięknymi srebrnymi Junkersami, oznaczonymi literami „P. PAL”, latali kupcy, przemysłowcy, dziennikarze, artystki liryczne i dramatyczne, panny na wydaniu, lekarze, adwokaci, wampirzyce, porucznicy i inne stany socjalne.

— Nie jesteś „up to date” — powiedział mi jeden z moich kolegów, gdy zwierzyłem się pocichu, że nigdy jeszcze nie zaznałem rozkoszy podróży powietrznej. — Ja już przełrąłem 70.000 kilometrów, miałem cztery „kraksy”, w tem jedną grobową, raz pilotowałem własnoręcznie, bo pilota zamroczyło, a raz poznałem w samolocie osobkę... no... je t'en passe le goût.

Zawstydziłem się. Tak; nie byłem up to date. Pozowałem na własnego dziadka. Nie darmo piękna pani Mery mówiła mi, że z memi pojęciami urodziłem się o 200 lat zapóźno. Należało opóźnienie to odrobić.

Veni, vidi... i wziąłem bilet do Krakowa. Trochę mi ścierpła skóra, kie-

dy miła i grzeczna panienka podała mi bon asekuracyjny i kwestjonariusz do wpisywania wrażeń. Potem w domu żegnano mnie tak, jak nasi pradziadowie żegnali swe nieopatrzone potomstwo, siadające do djabełskiego wynalazku, zwanego koleją żelazną.

Pardon. Zapomniałem. Jeszcze przedtem pytałem się wszystkich moich „oblatanych” znajomych, jak należy się zachować, żeby... Resztę zgadniecie.

Mój kolega oświadczył mi z powagą, że należy jeść jak najczęściej, „żeby potem było czem...” Uroczą pani Wandą, która już nieraz zażywała rozkoszy powietrznej podróży (czy tylko?), oświadczyła wręcz przeciwnie, że gdy przed pierwszym lotem kazano jej zjeść trzy obiady, to potem miała zajęcie przez całą drogę. Jest więc teraz zwolenniczką abstynencji.

Wobec rozbieżności zdań zwróciłem się do mego przyjaciela, Włodzia, jednego z asów naszego lotnictwa. Włodzio wysłuchał mnie cierpliwie,

a potem kiwnął nosem i odpowiedział to samo, co Douglas (nie Fairbanks) odrzekł Jakóbowi V Stuartowi.

Nie wiecie co? Więc wam powiem. W bitwie pod Solway-Moss (r. 1542), kiedy pobici przez Anglików Szkoci odbiegli swego władcę i wodza, Jakób V zwrócił się do pułkownika Douglasa, załamując ręce.

— Cóż mam teraz czynić? — zapytał.

— Królu, czyń jak uważasz — odparł ów salomonowej mądrości mąż.

Byłem tedy całkowicie zdany na własny proceder i postanowiłem iść za instynktem. Ten zaprowadził mnie do imię pana Dąbrowskiego, kupca korzennego i winnego. Nabyłem tam zyczną buteleczkę zacnego koniaku. Poczem, już uspokojony (w pewnych wypadkach alkohol działa dziwnie uspokajająco), zacząłem się pakować.

*

Lotnisko. Srebrzysty „Junkers” pije chciwie zapas benzyny i oliwy. Chłopcy w strzeleckich kurtkach znoszą bagaże. Tuż obok młoda para —



chirurg, udający się na zjazd do Krakowa, i jego żona — żegna się czule. Tak czule, jakby on wyruszał conajmniej na przelot Atlantyku, a ona... miała go zdradzić w kwadrans po odlocie.

Siadamy. W kabinie półmrok, bo to chmurny, marcowy poranek. Wraz z chirurgiem zajmuję tylne miejsce. Na jednym z przednich siedzi jakaś pani w sportowym Burberry. Z pod ronda szerokiego „sombbrero” nie widać twarzy.

Odlot! Zaglądam do koniaku, przytulnie tkwiącego w zanadrzu. Zaglądałem już coś ze cztery razy — dla kurażu. Teraz podwajam dżę.

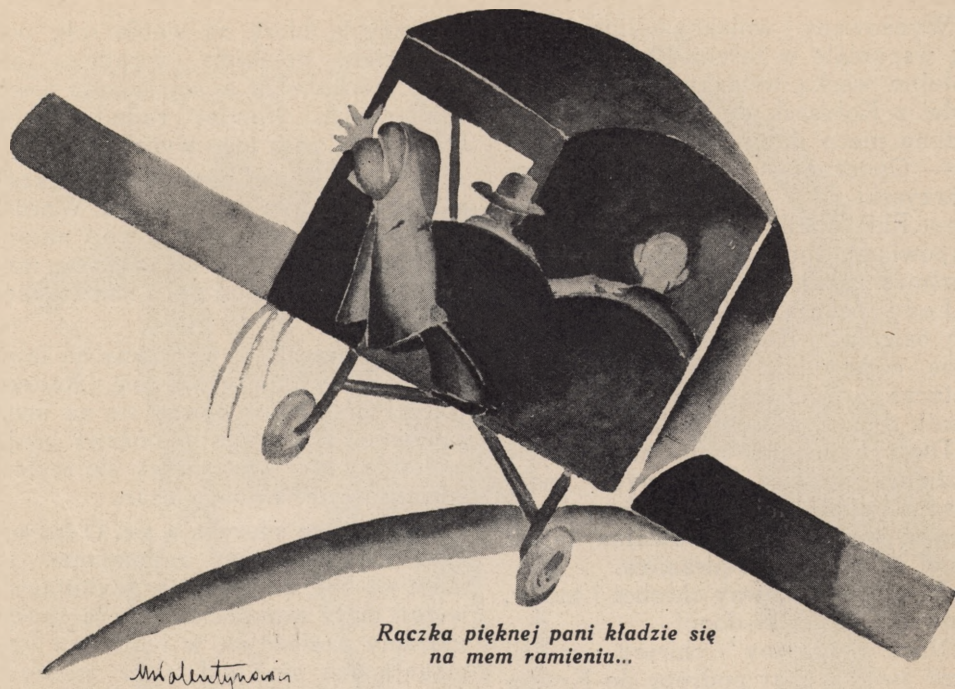
Frrr! — głośny warkot motoru, parę wstrząśnień, kilka podskoków. Jakże nierówno jest w tem powietrzu. Stanowczo „krowia posadzka” jest bardziej komfortowa.

Ryzykuję spojrzenie zukosa i o zgrozo!... Zamiast rozpostartych szeroko łąk i wód, widzę tuż mizerną trawkę i przerzedzone błotko lotniska. Okazuje się, że wciąż „rolujemy” po ziemi. A ja byłem już w obłokach.

Trrrr! Bum! Tym razem naprawdę. Zamykam oczy. Otwieram je przez ciekawość i coś ścisną mnie za grdykę. Podemną dziwnie pochylony plac wyścigowy, przekrzywione ukośnie koszary pułku lotniczego, dalej czarne skłębione chmury, też o ukośnym horyzoncie. A nawprost groźny, nie-



Junkers pije chciwie zapas benzyny..



*Rączka pięknej pani kładzie się
na mem ramieniu...*

mal niebotyczny gmach „Niespodzianki”. Przecież jeszcze za wcześniej na obiad...

Chwila strachu, kilka wahań, jak na kolejce amerykańskiej, i oto szubujemy spokojnie. Ciekawość przeмага. Sonduję wzrokiem przestrzeń i z radością identyfikuję szosę grójecką. Kwestja orientacji pochłania mnie całkowicie. Znalazłem siebie...

— To głupstwo — mówi do mnie chirurg. — Latałem już do Gdańska. Bardzo przyjemnie.

Potakuję, pochłonięty widokiem mostu na Pilicy, przez który tylokrotnie przejeżdżałem autem. Ale tuż za rzeką marcowy wiaterek bierze nas w swe ramiona. Od zachodu nadciągają wielkie czarne chmury, poprzedzone różowym zwałem mgły. Pilot zniża lot i kilkakrotnie kołuje. Aparat leży raz na prawem, raz na lewem skrzydle. Podskoki zaczynają być coraz przykrzejsze. Mój towarzysz zamyka oczy i ociera pot z czoła.

Zaglądam raz jeszcze do butelki (ten koniak jest naprawdę uniwer-

salny) i próbuję nawiązać rozmowę z panią. Przenoszę się na przednie siedzenie.

Wielkie, wyraziste oczy koloru „pervenche”. Jasno-blond loki. Nośki lekko zadarte, znamionujący inteligencję i filuterność. Usteczka zacięte ze stygmatem woli i opanowania. Nóżka antylopy. W ręku ostatni romans Duhamela, oczywiście po francusku.

— Jakże się pani czuje? — pytam, udając troskliwość.

— Nie lubię tych podskoków. (Tu lekkie skrzywienie usteczek i ledwo dostrzegalna bladość twarzyczki, podczas gdy nasz Junkers nurkuje w eterze). Ale wogóle jestem przyzwyczajona. A pan pierwszy raz?

— Tak — przyznaję się ze skrucho. — Nie latałem dotąd nigdy. Jeśli oczywiście nie liczyć, że w gimnazjum wyleciałem z trzeciej klasy, a w czasach studenckich twierdzono, że latałem za...

— Domyślam się... (Tu czarujący uśmiech, za który oddałbym pół życia.) Ale gdzie my jesteśmy?

Wychowany wojskowo, orientuje się wspaniale w terenie. Identyfikuje kolejno wąską wstążkę jednotorowej kolei z Kuluszek do Skarżyska i położone nieco dalej miasteczko.

— Opoczno — mówię do swej towarzyszki.

— Phi! Wielkie miasto Opoczno — odpowiada, pokazując w uśmiechu perłowe ząbki.

Lody pękają. Atmosfera zaczyna się ocieplać. Rozmawiamy o lotnictwie, o pogodzie, o francuskiej literaturze, o podróżach, o Alanie Gerbault, o modzie. Czas mija szybko.

Dwie kamienne kule na szczycie bliźniaczych wież kościelnych, mały plac z podobnemi do dziecinnych zabawek autobusami, podwójna taśma kolei żelaznej — Jędrzejów.

Za plecami dziwny chrobot i szmer. Odwracam się. Fi-donc!

Nasz „oblatany” chirurg zmienił snąć swój zamiar podróży do Krakowa. Chwilowo „pełną parą” jedzie do Rygi. Widok w ciasnym pomieszczeniu wielce niemiły.

Moja towarzyszka robi rozkoszną minkę, krzywiąc się arcyzabawnie. Wciskamy się w kąt, by nie patrzeć na nieszczęście doktora. Już i tak wiem, że na śniadanie jadł jajka.

Czarna chmura podpełza bliżej. Dziury w powietrzu stają się coraz częstsze. Ma się chwilami wrażenie zjeżdżania szybkobieżną windą z szóstego piętra. Podczas jednego z takich zjazdów rączka pięknej pani instynktownie kładzie się na mem ramieniu.

Z prawej burty nic nie widać. Mgła. Samolot kołuje, szukając drogi. Leżymy to na jednym, to na drugim skrzydle. Ziemia w dole wyczynia dziwne harce, przewracając się z boku na bok.

— Lęka się pani? — pytam z miną powietrznego wilka.

— Nie. Ale nie lubię tego zjeżdżania.

— Niech pani o tem nie myśli.

Próżność męska jest niezgłębiona. Oto już ja, nowicjusz w sprawach po-

wietrznych, biorę na siebie rolę pocieszyciela, opiekuna, doradcy. Tak samo, aczkolwiek w warunkach nieco odmiennych, Hamlet radził Ofelji i wiadomo, co z tego wyszło.

Ja jednak nie namawiam pięknej pani, by wstąpiła do klasztoru. Wprost przeciwnie. A tymczasem pod naszymi stopami ukazuje się większe, malowniczo wyglądające miasteczko: Miechów.

Naraz przechył gwałtowny na lewą burtę. Pasy naprężają się. Rączka (pięć i pół) znów opiera się na mem ramieniu. A w chwilę później czuję na sobie cały, wyraziwszy się stylem romansowym, słodki ciężar.

Oczy nasze spotykają się. O dziwo! Pod ich wpływem zapominam, że mam się bać, że jestem w szybującym wśród mgły samolocie, że lada chwila możemy znaleźć się w jednym z rozciągających się pod nami lesistych parowów. Widzę tylko te wielkie oczy koloru pervenche, o zwolna ciemniejących źrenicach. Wygląda z nich teraz dusza kobiety.

Przygoda. Przez duże „P”.

*

Aniśmy się obejrzeni, kiedy Junkers cicho i sprawnie wylądował na lotnisku w Krakowie. Więc to już? Skończyło się. Znów śliski padół waliki o byt, namiętności ludzkich i brutalnej rzeczywistości. O! jakże dobrze było mi tam wgorze!

Natłoczony autobus wiezie nas do miasta. Siedzę przedzielony od pięknej pani jakimś dwoma monterami. Zdwakowa rozmowa:

— Pan do Krakowa?

— Nie, pani. Niestety. Do Katowic. A pani?

— Ja tu do znajomych. Ale za kilka tygodni będę w Warszawie.

Pytać się o nazwisko, adres, umawiać na rendez-vous? Nie. Po stokroć. Nie psujmy całego uroku „Przygody”. Zresztą tu, wobec wszystkich, nie wypada.

*Jakże pragnąłem mieć wówczas
słonia czy żyrafę...*



Autobus staje przed dworcem. Uścisk drobnej rączki (tak, napewno pięć i pół). Spojrzenie wielkich oczu koloru pervenche. Rozstanie.

*

Spotkałem „ją”. Oczywiście. Nawet cztery razy.

Pierwszy raz było to w jednym z większych banków. Przywitaliśmy się, jak starzy znajomi. Byłem wniebowzięty. Widać już sam los wziął sprawę w ręce, kiedy udało się „ją” odnaleźć.

Radość rychło prysła. — Mam chorego męża, — powiedziała mi, — wyjeżdżam z nim do sanatorium.

Noblesse oblige.. Nie śmiałem nalegać...

Potem widziałem ją dwa razy na ulicy, bardzo zaaferowaną.

A potem któregoś jesiennego poranka coś skusiło mnie, bym poszedł

do Łazienek. Schodziłem właśnie główną aleją wjazdową, kiedy usłyszałem głośnie:

— Dzieńdobry panu...

Obejrzałem się. Chodnik był pusty. Tylko na jezdni widniała para jeźdźców. Wytworny major sztabu generalnego w lakierowanych butach, czapce à la d'Annunzio i srebrnych akselbantach. Drobną, wiotką, w szerokie meksykańskie sombrero ubrana amazonka...

Ona!

Tysiąc myśli w głowie i ani jednej logicznej. Zupełnie jak ów rój fortelów w głowie uwięzionego Zagłoby. Psu na budę...

Piechur wobec jeźdźca, to coś tak jak chórzysta wobec bohaterskiego tenora, albo malarz szyldów wobec wielkiego artysty. Jakże pragnąłem wówczas mieć słonia czy żyrafę. Dopiero bym spojrzał zgóry na majora. A tymczasem oba rumaki szły ku bramie, szorując bokami. Jeszcze chwila



Już jutro pójdę do redakcji...

i zniknęły na zakręcie. Zostałem sam
pół smutny — pół radosny.

Było to nasze ostatnie spotkanie.

*

Cóż-to za nowela? — powiedzą czy-
telnicy. — Za dwa grosze sensu. I wo-
góle ni głowy ni ogona. Jak można
było coś podobnego napisać?

Oh! Pardon! Darujcie. Darujcie po-
trykroć. Nowela ta ma sens i sens
wielki... — dla mnie. Zaraz zrozumi-
ecie.

Każdy inny bałwan poszedłby odra-
zu do zarządu linii lotniczej, dowie-
dział się nazwiska pasażerki, odnalazł
ją w książce telefonicznej, postał bu-
kiet róż, zatelefonował... i skompro-
mitował kobietę, narobił mętliku,
a może ośmieszył się lub co gorsza,
otrzymał w nagrodę parę potężnych
policzków. To nie sztuka...

Ani na chwilę nie przypuszczałem,
że moja pani da się wziąć na lep ba-
nalnej awanturki czy głupiego flirtu.
Ani na chwilę nie chciałem stwarzać
banalnych sytuacji. Pozostałem cał-
ką grę losowi. Je suis beau joueur.

Jak dotąd, przegrałem. Minał rok
od owego spotkania w Łazienkach.
I nic. Więc napisałem tę nowelkę.

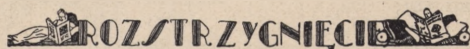
Teraz już rozumiecie. Wybaczcie je-
śli wziąłem was, czytelnicy, za współ-
ników mego sentymentalnego szal-
bierstwa. Może „Ja” odnajdę, a wte-
dy będę Wam wdzięczny, żeście mi
dopomogli.

Już jutro pójdę do redakcji i za-
pytam czy niema listu zaadresowane-
go pseudonimem *Jim Poker*

*Nowości Wiosenne
bluzki jedwabne,
terisówki, pullovery
ubranka dziecięce, letnie etc.
poleca
H. Mentzel 5^{to} Krzyńska 5
Marxalkowska 101*



ROZRYWKI UMYŚŁOWE



PIĄTEGO TURNIEJU ZADANIOWEGO

Na V Turniej Zadaniowy ogłoszony w nr.nr. 58, 60, 62 i 65 „Naokoło Świata” złożyły się następujące 20 zadań (podajemy z wyszczególnieniem punktacji):

1. Arytmograf-slimak (*S. Delimatowa*) . . . 2
2. Łamigłówka (*Her-man*) 2
3. Szaradka (*B. Domański*) 2
4. Logogryf wirowy (*W. Waryszewski*) . . 4
5. Rebusik (*J. Stratilato*) 2
6. Gwiazda magiczna (*B. Szewczykowa*) . . 4
7. Zagadka („Wilnianin” z *Konina*) 1
8. Permutacyjka (*Gil*) 3
9. Łamigłówka cyfrowa (*Enigmat*) 3
10. Wężownica literacka (*J. Stratilato*) . . . 5
11. Krzyżownica (*J. Menzel*) 3
12. Układanka (*Harpun*) 3
13. ? ? ? (*M. Pfeiffer*) 4
14. Aktualna szarada (*M. Wysocka*) 3
15. Rebus (*W. Per*) 5
16. Krzyżówka (*I. Czachowska*) 7
17. Sylabówka (*Cieñciała*) 2
18. Błędne koło (*S. Dworak*) 3
19. Rebusograf (*J. Massajada*) 4
20. Logogryf nutowy (*C. Rusin*) 8

Zatem ogólna ilość punktów możliwych do zdobycia wynosiła 70. Lista niżej podana wskazuje kto i z jakim skutkiem przeszedł i zakończył V Turniej. Pełnowartościowi finaliści oznaczeni są kursywą, natomiast *wykrzykniki* przy niektórych nazwiskach oznaczają uchybienia drobnego rodzaju, których *Turniejowiec* się dopuścił (np. przekroczenie terminu, niewyraźne rozwiązanie w szczegółach i t. p.); za rozwiązania niepełne zaliczaliśmy odpowiednio niepełną ilość punktów.

A zatem...

Augustów: *Rappel* Wacław (11);
Bakoszy Wielkie: Janiszewski Mieczysław (19);
Balice: Mazurówna Julja (12);
Białeżyce: *Opieliński* Franciszek (12);
Białystok: Grün Bronisław (12), Wasilewski Remigjusz (12);
Bitków: Łodzińska Barbara (12);
Blachownia: Masłowska W. (11);
Bochnia: Świderski Bolesław (12);
Bogusławice: Jassek Rudolf (63-!);

Bohorodczany: Dolnicki Roman (20);
Bortniszki: Bejnarówna Stanisława (11);
Borysław: Psarska Zofja (65);
Brześć: Szymkiewicz Jerzy (9);
Brzeziny: Massajada Jan (67-!);
Eydgoszcz: Sajdakowa Jadwiga (31), Świętecki Lech (10);
Ciechanów: Jastrzębska Zofja (52-!);
Chełm: chor. Waszczyński Jan (37);
Chełmża: Stańczak Władysław (12);
Chodecz: Młodzianko Władysław (12);
Częstochowa: „Irokez” (53), Kremer Wacław (8), Kornhöfer Wiktor (45), Prejzner Kazimierz (12);
Dąbrowa Górnicza: Nowak Jan (21);
Dobrzeliń: Kwiekowa Jadwiga (65-!);
Drohiczyn: Lewicki Szczepan (12);
Dubno: Geluzman D. (47), Przybyła Otton (27);
Grabki: Stasiakowa Jolanta (63);
Grodno: Budkiewicz Zygmunt (12);
Grójec: Rakowiecki Bronisław (12);
Grudziądz: „Rokosz” (12);
Horodziej: Szymański Bolesław (4);
Inowrocław: Langnerówna Iza (17);
Iwaniska: Chodurski Henryk (11);
Janostrów: Szewczykowa Bronisława (4);
Janów Lubelski: dr. Tołwiński Konrad (15);
Jarocin: Lenarczyk Stanisław (8);
Kamińsk: Witliński Leon Jan (8);
Katowice: Bi-ski F. (23), Leżyński Marceli (13), Widuchowska Wanda (55);
Kielce: „Cieñciała” (54), Jedruchowa Marta (54);
Koło: Jankowski Leon (39);
Konieczpol: Bellon Franciszek (11);
Konin: Baranowicz Franciszek (67);
Kosów: Bednarski Bronisław (12), Formanek Bronisław (12);
Kraków: Bellon Stanisława (23), Bendarska Helena (12), Bromboszcz M. (60), Bross Stefan (12-!), Czachowska Irena (7), Filek Andrzej (67), Filippi Mary (26), *Kaniowski Wacław* (70-!), Kędziński Stanisław (68), Powroźniak Józef (12), Spisak Jan (60), Suwrańska Hanka (12), ks. Welc Józef (41), Zmigrod Samuel (12);

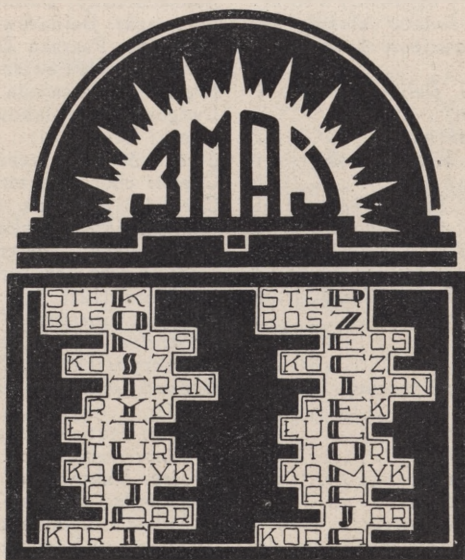
Królewska Huta: inż. Łabęcki Zygmunt (12);
Książnice: Rozwadowska Irena (8);
Kutno: Przyłuscy Lola i Jur (41);
Lelów: Praussówna H. (24);
Limanowo: Chrapkiewicz M. J. (11);
Lubawa: Trocha Zygmunt (51);
Lubiewo: Kufel Oskar Józef (12);
Lublin: Dowgird Stanisław (26), Mroczkowska Alina (12), Orłowska Janina (56), P-ko M. (6), Tański Kamil (66);
Lwów: Kulaś Zbigniew (11), Łukasiewicz Kazimierz (65), Mayerówna Marja (31);
Łągowniki: Borysow Witold (12);
Łapy: Wiśniewski Zygmunt (8);
Łęczycza: Obrębski Roman (30);
Łowicz: Wierzbicki Józef (56);
Łódź: „Beta” (44), Gerszenowicz A. (23), Lesław Jan (12), Majzner M. (8), Menzel Józef (51), Niemiec Kazimierz (12), Spodenkiewicz Leon (12), Wajntreter Henryk (19), Weissmann Eugenjusz (10);
Łuniniec: Sławnicki Michał (64), Sławnicki Teofil (64);
Teofil (64);
Miączyn: Pawłowski Michał (4-!);
Mielec: prof. Kawa Władysław (39);
Mników: Blecharska Olga (12);
Modlin: Jarmulski Saturnin (44);
Morzysław: Michalska Klara (59);
Nawojowa: Krzeczewska Janina (12-!);
Nowe Miasto: Spanioli Mieczysław (30), „Jocz” (12);
Nowogródek: Braun Hilary (26);
Nowy Sącz: Flisówna Marja (41), Słiwa Jan (16), Słiwa Kazimierz (16);
Oborniki: Sławeta Henryk (10);
Ostrowiec: Klajmanówna D. (2);
Pabjanice: Enderówna J. (6);
Pakość: Zajączkiewicz Zbigniew (62);
Piasечно: Jodłowski Józef (25);
Piotrków: Kuhnke Eugenjusz (32), Tamin Wiara (12);
Płock: Popławski Witold (8);
Poreba: ks. Czapliński K. (24);
Poronin: Jeleński Wiktor (48);
Poznań: Adamanisowa Janina (12), „Blok Familijny 7 p. a. c.” (6), Choynowski Mieczysław (28-!), Effert Leon (12), Effertówna Hela (12), „Enigmat” (3), prof. Henke Józef (70-!), Ilcewicz Władysław (12-!), Kiedaczówna Maryla (12), Kortylewicz Wiktor (69), Kozłowska Marja (55), Kut-

nerówna Zofja (12), Męclewicz Edward (28-!), Miklaszewski Gwidon (12), Miklaszewski Marjan (12), *Miłowski Edmund* (70), Palczewski Stanisław (12), Pfeiffer Mieczysław (68), Sławińska Irena (9), „Steff” (28);

Pruszków: Sawicki Wojciech (12);
Przemyśl: Pyska Władysław (49), Wiśniewska Amelia (8);
Przysieka Stara: Delimatowa Stanisława (2);
Puchaczów: Dworak Stefan (40-!), Stawarski Józef (38-!);
Radom: Czerniakow Sergjusz (12), Gruber Jerzy (12);
Rogówko: Hoffmann Zygmunt (11);
Roś: Drzewiński Tadeusz (7);
Równe: „Plik i Plak” (6), por. Wolanowski Mieczysław (10);

Ruda Pabjanicka: Swiderski Edmund (66), W. Z. (8);
Rutki-Kosaki: Matysik Jan (16);
Sambor: Horniatkiewicz Leonja (23);
Sandomierz: Kosela Józef (67-!), Skowroński Stanisław (58);
Sarny: B. Kazimierz (22);
Sawin: „Ali-Baba” (12);
Siedlce: Orzechowski Tadeusz (24);
Sieradz: Kramiec Stefan (38);
Skarżysko: Winnicki E. (20);
Skolimów: Raszewski Tadeusz (7);
Słomniki: Krzyworska Wincenty (8);
Słonim: „Jawnuta” (8);
Smardzewice: ks. Arlitewicz Julian Ludomir (12);
Sochaczew: Neuman Jerzy (7);
Sosnowiec: K. Halina (10), Tar-ski Jerzy (30);

Stanisławów: Szwabowicz Wanda (12), T. Irene (13);
Starogard: Skubiszewski Jan (12);
Stary Sącz: Trybulski Zbigniew (12);
Stolin: Wilczewski Marjan (10);
Strzemieszyce: „Czarny” (12-!);
Sulejówek: Kamiński Eugenjusz Zdzisław (43), Kamiński Stanisław (68);
Suwałki: chor. Bekielewski Franciszek (64), „Czart” (7);
Szczekociny: Lassota Józef (7-!);
Szwejk: Gierzyńska Ewa (12);
Święciany: Kiewlicki Roland (8);
Tarnów: „Miriam” (6);
Tczew: Dohnal Marjan (12);



Rozwiązanie „Permutacyjki” (8) z V Turnieju Zadaniowego wykonanie przez p. „Hermańa” z Wilna



W dzień — SŁOŃCE
W nocy — ARGENTA

To porównanie narzuca się każdemu. kto część
doby musi przepędzać przy sztucznem świetle
Dobre światło — to warunek zdrowia i dobrego
nastroju, potrzebnego do pracy i rozrywki.

TAKIEM ŚWIATŁEM JEST
ŻARÓWKA

PHILIPS ARGENTA

DO ŻARÓWKI PHILIPSA — ARMATURA PHILIPSA.

WYRÓB KRAJOWY POLSKICH ZAKŁADÓW PHILIPS S. A.
WARSZAWA — KAROLKOWA 36/44

Toruń: Lesserowa A. (12), K. Alojzy (12), „Mery” (2), Zan W. (47-!);

Trawniki: „A. B. C.” (14);

Trembowla: Winiarska Helena (12), Winiarski Tadeusz (12);

Warszawa: Bahr Adam (68), Bartkowska Halszka (8), Bergerowa Zofja (12), Blumenfeld S. (11), „Bogstan” (12), Cacek Mieczysław (12), Chociwsi Mikołaj (24), Cygan Eugenjusz (12), Czachyrówna Halina (21), Czechowska Zofja (19), Daszkiewicz Bronisław (11), Dąbski R. (12), Doliwa-Dobrowolski Dymitr (12), Drzewiecki Jan Jerzy (10), Dutkiewicz Stanisław (12), „Ergos” (60), Folański Włodzimierz (3), Gierniewski M. (9), Gieysztor Aleksander (6), „Gil” (3), Gottschalka Stanisława (12), Gryniewiczowa Hanna (10), Grzybowska Ludmiła (21), Hampel Janusz (9), „Harpun” (3), Herbstmanówna Dorota (45), Hilchen Stefan (37), Hofmanówna Jadw. (10), Imbs Edw. (12), Janiewicz Janusz (68), Jarosławski Gustaw (69), Jaskiewicz Stanisław (12), Jazwiński Stanisław (12), Jurczyk Wacł. (63), Kamińska Halina (21), Kawalkiewicz S. (12), Kozłowski Czesław (68-!), Krzywicki Zdzisł. (12), Krzyżanowski Julj. (20), Kubicka Irena (12-!), Kwiatkowski Jerzy (17), inż. Landau Jan † (44), Langfierowa Wanda (12), Lipińska Teodozja (12), Liwska Marja (66), Lwies Halina (12), Łaciński Ryszard (8), Łopatto Jerzy (69), Murawski Feliks (12), Mutermilch Stanisł. Jan (12), Napiorkowski Jan (27), Nergier Stanisław (12), Niemyski Bolesław (23), Nowak Bernard (17), Nowicki Wiesław (45), „Ogończyk” (12), Olinowski J. (8), Ordowska Marja (12), Osiecki Kazimierz (69), inż. Ostrowski E. (8), Pankowski Edward (14-!), Pawłowski Stanisław (10), Peszyński Antoni (3), „P. O. P.” (12), Przyłubski Feliks (12), Putkowski Władysław (12), P. Z. (58), Raciborski J. I. (10), Raszewski Tadeusz (10), Rondthalerówna Wanda (26), Rosen Marcelli (27), Ruciński Juljusz (12), Rusin Czesław (20), Rychterówna Irena (37), Ryteł B. (8), Silczyński Wł. (12), Sirocki Wło-

dzimierz (12), Skonieczny Lech (11), Spiel Wł. (12), Stawe Janina (8), Stratilato Jan (28), Szymański Juljusz (4), Szymański Piotr (12), Tabelski Jan Wacław (12), Talikowski Mieczysław (15), Tietz Zygmunt (67-!), Traczewski Zygmunt (12), Turkowski Wacław (4-!), Tworzyński Kazimierz (12), Urban Alojzy (12), Waterski Marcelli (3), Waryszewski Walerjan (12), Wątróbska Karolina (11), Wenda Janusz (19), Wierchoń Edward (25-!), Wodzińska Anna (11), Wojciechowska Janina (26), Wysocka Michalina (3), Zabielski Stanisław (12), Zaranowski Eugenjusz (12), Zawadzki Kazimierz (68-!), Zieniewicz M. (8), Żegietowski Jan (12);

Wasilków: Kruk Edward (12);

Wągrowiec: Butyrski Kazimierz (12), Butyrski Tadeusz (12);

Widzew: Kruliński Jan (12), Wawerkiewicz Marjan (18);

Wielichowo: Grubiński A. (10);

Wieliczka: M. Bolesław (12-!), M. Walentyna (12-!);

Wieruszów: Materski Józef (7);

Wilno: Domański Bronisław (41), Farbotko Józef (67), „Herman” (27-!), Jackiewicz Anatol (12), Jurewicz (12), Per Wiktor (60-!), Szczerba Władysław (26);

Włodzimierz: por. Siełużycki Stanisł. (11);

Włoszczowa: Kalityński Włodzimierz (10-!);

Wolbórz: Kleszczewski Anastazy (12), M. Jan (3);

Wołomin: Szydłowski J. (7);

Wronki: Kr... Leon (12);

Września: Kindziół August (12);

Wysoka: Ginter Gustaw (2);

Wyszów: „Garbo Greta” (13-!);

Zagórze: Klimkiewicz Jan (18), Kl... Wacław (18);

Zakopane: Heybowicz Wacław (10); Korski Adam (12);

Zaleszczyki: F. Ryszard (8);

Zambrów: Sadowski Eugenjusz (46), Truski W. (12);

Zarszyn: Pazurkiewiczówna Marja (21);

Zawiercie: ks. Czapliński K. (15), Gryszczukówna E. (12);

Zbaraż: Bożydar Janusz (12);

Zdobunów: Kryński J. (12);

Zduńska Wola: Mikołaszewski Włodzim. (7);



Rozwiązanie „Logogryfu wirowego” (4) z V Turnieju Zadaniowego wykonane przez p. Jana Stratilato z Warszawy



„Jestem dobrze ogolony”

Ta świadomość daje Wam pewność siebie. Dobrze się golić oznacza: stosować krem do golenia „Peri”. Dla tego zmiękcza on szybko każdy zarost i chroni skórę. Przeczytajcie poniższe wskazania, oparte w 100% na prawdzie:

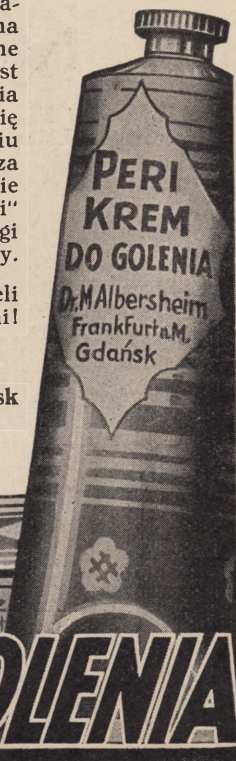
Krem do golenia „Peri” pokonywa nawet najmocniejszy zarost. Obfite zastosowanie wody przy namydłaniu pendzlem bardzo zmiękcza włosy, piana zaś zmiękcza je aż do korzonków, a jej delikatne perełki otaczają każdy włoszek i w ten sposób zarost daje się z łatwością usunąć. Nożyki do golenia mają wówczas łatwe zadanie i nie zużywają się prędko. Jedna minuta namydłania przy użyciu ciepłej lub zimnej wody wystarcza. Wystarcza również tylko sam pendzel bez miseczki. Wcieranie ręką jest zupełnie zbędne. Krem do golenia „Peri” spełnia całkowite zadanie, zbędne są zatem zabiegi przed i po goleniu, gdyż „Peri” nie drażni skóry.

Stosujcie krem do golenia „Peri”, a będziecie mieli zawsze świadomość, że jesteście dobrze ogoleni!

Wszędzie do nabycia!

Dr. M. Albersheim, Frankfurt n. M. - Londyn - Gdańsk

PERI KREM DO GOLENIA



Zgierz: Golkowski Jan (26), Lach Adam (65),
Margulies Jakób (65-!), W-ski K. (12);
Zielonka: Sulikowska J. (12);
Złoczów: Barasch J. (12), Reiss Janek (12);
Zyrardów: Jaworowska Wanda (8); Zalewska
Marja (8);
Żyrowice: Szorc Mirosław (10);
Żywiec: Gliński Wincenty (8), Malski Jan (8).

Prócz tego otrzymaliśmy rozwiązań nie
podpisanych i bez adresów na ogólną sumę —

34 punkty!... Ponieważ kierownik działu nie
opanował dostatecznie grafologii, punkty te
rozstrągnięni *Turniejowcy* tracą na rzecz ko-
sza redakcyjnego, co raczą przyjąć na przy-
szłość jako *memento* nasi zawsze mile wi-
dziani Czytelnicy.

*Spis nagrodzonych w V Turnieju Zadani-
owym oraz rozstrzygnięcie „Konkursu Autor-
skiego” wraz z jego plonem podamy w jed-
nym z najbliższych zeszytów „Naokoło
Świata”*

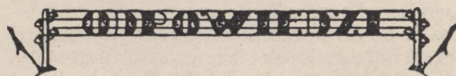


— 1 maja 1930 ukazał się nr. 1 dwuty-
godnika „Rara Avis”, poświęconego rozryw-
kom umysłowym, pod redakcją Jana Strati-
lato. Adres redakcji i administracji — War-
szawa, Miodowa 7.

— *Warszawski Klub Szaradzystów* wydał
pod redakcją swego prezesa, p. Zygmunta
Tietza, jednodniówkę p. t. „Rozrywka”, która

zawiera 15 rozmaitych zadań z 80 cennemi
nagrodami. Jednodniówkę może otrzymać każ-
dy *bezpłatnie*, po nadesłaniu swego adresu do
Warsz. Kl. Szar. — Warszawa, Miodowa 7.

— W Dubnie, przy miejscowym Gimnazjum
Państwowem, wychodzi drugi rok dwutygod-
nik „Łamigłówka” pod red. prof. Smolnic-
kiego. Cena pojedynczego numeru 30 gr.



(271). *Sławniccy M. i T.* — Łuniniec. Za
życzenia serdecznie dziękujemy!

(272). *Koshade Br.* —
Hollywood, Calif. Miło
nam powitać na tem
miejscu Sz. Panią. *Sza-
rady* zamieścimy. Co
do *Klubu Szaradzi-
stów* — otrzyma Pani
informacje bezpośred-
nio od prezesa, p. Z.
Tietza, który obiecał
pod wskazanym adre-
sem przestać je li-
stownie.

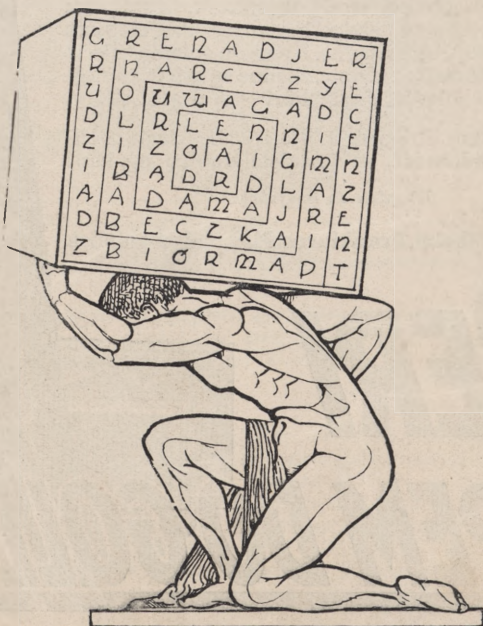
(273). *Gierszewski* —

Warszawa. *Veni, vidi, vici!* A raczej — przy-
szło! zobaczyliśmy! zwyciężyliście!..

(274). „*Nowoprzyby-
ty*” — Warszawa. Bar-
azo dobrze wykonane
rozwiązanie... Pójdzie!..

(275). „*Jot-Es*” —
Wilno. Słownik Arcta
jednak podaje okre-
ślenie *muzy* w tej for-
mie, jaka ukazała się
w naszym dziale. W
każdym razie jeden ze
znanych botaników, za-
interpelowany w tej
sprawie, nie znalazł w
tem błędu. Pan, oczy-
wiście, jest w porząd-
ku, bo... ściślej.

J. K.



Rozwiązanie „Arytmografa-ślimaka” (1) z V Turnieju Zada-
niowego, wykonane przez p. Witolda Poptawskiego z Płocka.

NEUTRALNE I ŁAGODNE **MYDŁO TOALETOWE** ZACHOWUJE DELIKATNOŚĆ CERY

ANTIB 57 00 WARSZAWA

Do nabycia w składach Przem.-Handl. Zakł. Chem. LUDWIK SPIES i SYN Sp. Akc.
Warszawa, Pl. Teatralny 18, Marszałkowska 140, Marszałkowska 99,
oraz we wszystkich składach aptecznych, aptekach i perfumerjach.

kroczymy naprzód!
ucdoskonalamy stale
nasze wyroby!



perfumy

mydło

krem



PULSA

SKŁAD GŁÓWNY: WARSZAWA WIERZBOWA 11